N. 34. WARSZAWA d. 14 (26) Sierpnia 1871 ROKU.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: *w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50.— Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15. — w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionéj agencji, przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26 Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Żabia Nr. 956* (nowy 6) *dom narożny przy targu.*

WINCENTY POL

JAKO PROZAIK,

Studjum K. Wł. Wojcickiego.

I.

Stanowisko Wincentego Pola jako poety, już jest stale oznaczone w literaturze naszéj. Zajął on poczesne miejsce po wielkich wieszczach, a kilku nawet utworami, jak Rapsodem *Mohort*, stanął na równi z nimi.

My tu głównie zwracamy teraz uwagę jako na prozaistę, który pracami swemi, na téj drodze przeważne położył zasługi,

Obszerne przypisy, jakiemi każdy prawie swój utwór poetyczny opatrywał, dorzucały bogate szczegóły na objaśnienie upłynionéj przeszłości, wskazując zarazem i głębokie wnikanie w obrany przedmiot.

Za nim się pojawiły większe utwory poetyczne Pola, w roku 1845 wydał mały tomik opowieści swoich p. n. *Obrazy*. W nich *Obiad czwartkowy*, i postać *Winnickiego* nadwornego trefnisia króla Jana III, tak po mistrzowsku skreślone, że po wielekroć przedrukowywano je po rozmaitych pismach. W tych drobnych obrazkach, autor przenosi czytelnika we właściwe czasy i zagasłą społeczność, z taką prawdą i prostotą, że zdaje się iż w nich żyjemy i jesteśmy naocznymi świadkami opowiadanych zdarzeń. A Polowi, tych barw tak jasnych, téj ułudy prawdy, dodała tradycja, którą w żywém słowie umiał pochwycić i z całą wiernością oddać piórem, nic z niéj nieuroniwszy. Ta tradycja dała mu wątek i osnowę do jego utworów poetycznych, zarówno lirycznych jak i opisowych; ta tradycja podana ustami starców, dała mu nadto język jéj właściwy, który umiał sobie przyswoić i tém większym urokiem każdy przedmiot opromienić.

Od roku 1850, kiedy Pol jako doktór filozofii objął (jakkolwiek na krótko) katedrę profesora geografii w uniwersytecie Jagiellońskim, przeważny widzimy kierunek jego ku pracom naukowym.

Przy wstąpieniu na pomienioną katedrę, rozpoczął swój wykład geografii powszechnéj, fizycznéj i porównawczéj, rzutem oka na tę umiejętność. (¹)

Opisując powolny jéj rozwój i postęp od Arystotelesa, przechodzi jéj dzieje naszepne, działy nauk którremi się wzbogacała i rozszerzała szczupłe pierwotne swoje ramy, i zatrzymuje uwagę nad człowiekiem.

„I człowieka (pisze Pol) znajdziemy także tylko w pewnych grupach obok siebie żyjącego, których indywidualność będzie wyżéj posunięta w miarę stanowiska, jakie wśród stworzeń w naturze i na kuli ziemskiéj zajmuje.

„Tu wypada jednak rozróżnić: ile udziału w tych stowarzyszeniach człowieka będzie miała natura, a ile własny duch jego?

„Rozrodzona rodzina jest rodem. Na stanowisku tedy rodu staje człowiek pośrodku roślinnych i zwierzęcych grup, i wyżéj jak do rodu, nieposuwa natura stowarzyszeń ludzkich.

„Na tem tedy stanowisku człowiek jest dzieckiem i jeńcem natury, a niezdoła się nigdy wyłamać z pod jéj wpływu. Na tem stanowisku człowiek walczy z naturą, ale nie zdoła jéj owładnąć, ani wziąść nad nią panowania,—duchem dopiero odrywa się od niéj, gdy tworząc stowarzyszenia wyższego rzędu, objawia *wolną wolę*.

„Rody są tedy dziełem Bożem, dziełem natury, i jak wszystkie jéj twory, starsze od historji powszechnéj. Wspólność krwi i wspólność mowy, wspólność sposobu życia a tem samem i zwyczaju, jest to, co je cechuje i co je łączy w kole rodowości. Na tem stanowisku należy człowiek zupełnie jeszcze do natury, a umiejętność, która jego życie z tego stanowiska wyświeca, jest to umiejętność *Etnografii* i składa także jedną część geografii powszechnéj.

„Historja wszakże i obecny stan ludzkości naucza nas, że człowiek niepozostał na tem stanowisku na jakiém go postawiła natura, lecz wolną wolą oderwał się od niéj, a idąc za popędem ducha własnego posunął się wyżéj.

„Historja naucza nas, że pojedyncze *rody*, stojące na stanowisku człowieka w stanie natury, żyjące obok siebie na pewnéj przestrzeni, połączyły się z sobą i utworzyły *narody*, to jest świadome siebie społeczeństwa ludzkie, a kierowane do pewnego celu.

„Środkowym punktem zebrania dla rodów, były zawsze wyobrażenia religijne, bo myśl człowieka i wolna wola, ma tylko w obec Boga swe znaczenie, i tylko za pomocą ducha i wyższéj swéj istoty, odrywa się człowiek od natury i trafia myślą do Boga.

„To jednak co rody zmusiło do łączenia się w naród, była zawsze tylko potrzeba z jednéj strony, a z drugiéj poczucie siły własnéj i indywidualności.

„Potrzeba niebieskiego światła, która w pierwiastkach społeczeństw ludzkich, zawsze objawia się czcią religijną, zgromadziła rody около ofiarników i ołtarzy Pańskich, a niebezpieczeństwo fizyczne dało im wodza.

„Potrzeba tedy *światła i obrony*, łączy głównie rody w *ciało narodowe*; chwila ta przypada zwykle pod epokę największéj plemienności rodów, pod epokę poczucia własnéj siły i indywidualności, w téj chwili wydziela z siebie ród dzielniejsze siły, odrywa się od stanu natury i tworzy *narodowość*, to jest duchową potęgę, potęgę moralną, którą pokrewnym

(1) Rzut oka na umiejętność geografii ze stanowiska uniwersyteckiego wykładu. Kraków. W Drukarni uniwersytetu 1850 (w 8-ce str. 25.)

rodom pewien spój nadaje, która się odtąd staje naturalnym onych przewodnikiem, i przeprowadza je ze stanu natury i fizycznego poczucia siły, do świadomości duchowéj.

„Wszystko jest tutaj wyższe i spotężone. Człowiek stojący dotąd nieruchomo na stanowisku natury, zamknięty w ciasnem kole rodowości, odrywa się od niéj i przechodzi na szerokie i ruchome pole *historji*.

„*Narzecze* staje się *językiem*; *nałóg* i *zwyczaj*, obyczajem: *podanie* historją.

„Z głuchéj i niemej massy nieświadomych rodów, podnoszą się wszystkim zrozumiałe głosy, wiążące krew z ziemią, ziemię z niebem, Boga z człowiekiem, naród z Bogiem.

„Gra indywidualności, gra charakterów myśli i woli, złego i dobrego, kieruje odtąd społeczeństwem ludzkiem, i ztąd narodowość na rodach osnuta, jest dziełem ducha ludzkiego, dziełem usamowolnionego człowieka, i nie Bóg ale człowiek odpowiada za historję."

Obszerny program, jaki nam w téj wstępnéj prelekcji Pol rozwija bogactwo przedmiotów, które ogarnia, dla okazania całego obszaru *Geografii powszechnéj*, wykazuje nowe stanowisko téj nauki, któréj wykład wprowadzowny po raz pierwszy na katedrę Jagiellońską, dawał niepłonną nadzieję dla słuchaczy, nabycia gruntownéj wiedzy w wielu kierunkach nieobjętych programatem wykładów w uniwersytecie.

Posłuchajmy co mówi w téj rzeczy, sam profesor...

„Tutaj tedy, otwiera się pole dla *Powszechnéj porównawczéj geografii*, bo w téj wyższéj dopiero kombinacji, wzniosą się zjawiska do potegi pojęć, a strefy i odpowiednie im grupy w naturze, wieki upłynione i odpowiednie im narody, a w końcu zmiany fizyczne na powierzchni kuli ziemskiéj i odpowiednie im dzieje ludzkości, nabiorą tylko znaczenia indywiduów i posłużą za cyfry do téj kombinacji.

„To znaczenie ma właściwe *Geografia historyczna* czyli w wyższem znaczeniu *porównawcza*, a zadaniem jéj, będzie odnieść całą naturę do najwyższego jéj szczebla, do człowieka, a przeto geografię do historji.

„Jeżeli bowiem nigdy niezaprzeczano wpływu, jaki natura wywiera na człowieka, okazuje się podług dzisiejszego stanowiska geografii powszechnéj, iż niedosyć uwzględniono i oceniono wpływ, jaki człowiek wywiera na naturę.

„Człowiek na stanowisku rodowości stojący, ulega zapewne przeważnym jéj wpływom, ale duch ludzki wiążąc pokrewne rody w narodowe ciała, walczy z naturą, zwycięża ją i panuje nad nią.

„Ztąd też nie przeszła historja powszechna bez śladu po powierzchni kuli ziemskiéj, a wykazać ten jéj ślad i ztąd zrządzone zmiany w świecie fizycznym na powierzchni kuli ziemskiéj, będzie ostatecznem zadaniem geografii powszechnéj.

„Historyczna geografja przypadająca w tę sferę, nie będzie tedy oddzielną nauką, ale tylko jedną częścią geografii powszechnéj. Jest to bowiem czasowy moment powszechnego życia na kuli ziemskiéj, odniesiony do ruchu ludzkości, którego wyobrażenie daje historja.

„Każde faktum pojedyncze w historji, nie znajdzie zapewne odpowiedniego faktu na powierzchni kuli ziemskiéj, ale całym epokom historycznym odpowiedzą grupy fizycznych zjawisk na powierzchni kuli ziemskiéj, a jak jéj kosmiczne i telluryczne stosunki mają się do zjawisk dalszych, których są warunkiem, tak będzie się miała w téj części geografii powszechnéj ziemia do człowieka, geografja do historji, tak jak ciało do duszy.

„Zlanie się geografii i historji powszechnéj w jedną nową umiejętność, byłoby zapewne w końcu bardzo pożądane, jak jest rzeczywiście zadaniem postępu w wieku naszym, w wieku najwyższych kombinacji. Wówczas wszakże mogłaby tylko być mowa o skutecznych rezultatach, jakie powszechna geografja wynosi ze sfery nauk przyrodzonych, a powszechna historja wyniosła jako pewniki z nauk historycznych, czyli z doświadczeń całéj ludzkości. Rezultaty podobne dają się bowiem odnieść do pojęć, i w umiejętności łączącéj ostatecznie *Geografię z Historją powszechną*, rozpocząłby się właściwie już nie rachunek *faktów i zjawisk*, ale rachunek odpowiednich *im pojęć*.

„Znaczne po temu poczyniono już kroki. Nowsi badacze na polu natury i historji, odnosząc zjawiska natury i epoki historji, do wyższego ich znaczenia, rzucili już pierwsze zarysy i zakreślili pierwsze żywotne idee, na których się oprze w czasie ten spotężony kalkuł, i rozumiem, iż *geografija powszechna* odda z czasem wielką przysługę filozofii, bo przysposobi i przetrawi surowe daty i uduchowni je do tyla, iż filozofja natury będzie je mogła przyjąć do swojéj sfery i rozpocząć niemi rachunek logiczny.

„Po tle tak szeroko rozsnutem okazuje się, że umiejętność geografii powszechnéj ze stanowiska uniwersyteckiego wykładu uważana, ma styczność z bardzo wielu pomocniczemi naukami z jednéj strony, a z drugiéj strony styka się z umiejętnościami dającemi najwyższe rezultaty badań ducha ludzkiego,— lecz zarazem powstaje potrzeba ujęcia właściwego przedmiotu geografii powszechnéj w pewne karby, potrzeba odgraniczenia jéj ścisłego, tudzież obrania pewnéj metody w wykładzie,"

Serja pierwsza „*Obrazów z życia i natury*" wyszła 1869 roku, druga w roku bieżącym.

Dzieło to wysokiéj wartości, otwiera nam świat nieznany, samodzielne obrazy, bogate i w rysunek mistrzowski i koloryt pełen uroku. W nich Pol nieogranicza się historją naukowego wykładu, którego strzedz musiał z katedry, ale szuka starannie, jak poetycznie wyraża

„*Oddechu natury.*"

„Każdy z obrazów (mówi sam we wstępie) jest obrazem miejscowym, zdjętym z natury, a że nie zawsze robimy podróże w celach naukowych, ztąd trzeba się czasem zapytywać myśliwych, pasterzy, flisów i rolników, o tajemnice miejscowéj natury, zwłaszcza kiedy chodzi o żywy jéj oddech, o schwytanie jéj głosów i widoków w przelotnéj tłumnych zjawisk powodzi.

„Obrazy te mogą tedy tylko w części zastąpić wrażenia podróży, i dać tyle przysposobienia, aby następnie odbyć można tę podróż z pewnym pożytkiem dla siebie lub drugich. Niechcę tem powiedzieć, aby ta książka mogła być przewodnikiem w podróży, ja chciałem tylko wskazać, jak się zapatrywać należy na odrębne okolice typowéj natury, po czem je poznać, jak streścić i zobrazować dla siebie lub drugich.

„W tem tedy oznaczeniu rzeczy jest książka ta przewodnikiem, bo ma zamiar zwrócić wzrok duszy na widoki natury."

(d. c. n.)

Korespondencja Tygodnika Mód.

Wiedeń — Sierpień.

Wystawa powszechna — Przygotowania do niéj — Zjazd spodziewany — Nieznośny czas w Wiedniu — Menażerja w Schönbrunn — Opera włoska z Bukaresztu — Filip Patierno — Trupa francuska p. Meynadier — Freski prof. Blaas w arsenale— Stowarzyszenie zarobku kobiecego.

W roku 1873 na wiosnę ma odbyć się w Wiedniu Wystawa powszechna dzieł sztuki i przemysłu całego świata, na wzór sławnéj wystawy paryskiéj. Wiedeń za nadto przygnębiony stosunkami, za nadto ubogi i skromny, aby mógł marzyć o przewyższeniu stolicy tak potężnego wówczas kraju, radby przynajmniéj w części, przynajmniéj napozór jéj dorównać. Współzawodnictwo to, o ile jest chwalebnem, o tyle stać się może zbawiennem dla przemysłu całego świata. Zjazd na wystawę wiedeńską nie będzie zapewne ani tak wielki, ani tak świetny jak na paryzką, bo znaczenie Wiednia pod względem politycznym, ani myśleć o tem nie pozwala, i wystawa wiedeńska, choć będzie może większą jak tegoroczna londyńska, nie dojdzie pewno do tak olbrzymich jak paryzka rozmiarów. Jednakowoż nie można wątpić, że nagromadzi się i tutaj aż nadto dosyć przedmiotów godnych widzenia, a chociażby nawet wystawa wiedeńska ograniczyła się głównie tylko na produkta krajów korony austryjackiéj i węgierskiéj, to i wówczas nieposlednie miałaby znaczenie. Co się tyczy zjazdu, to przynajmniéj z pewnością przewidzieć można, że Galicja bez mała wszystka przybędzie na wystawę, a przynajmniéj ci, którzy jakąkolwiek mają pretensję aby ich zaliczano do inteligencji, pewnie nie opuszczą tak korzystnéj sposobności odwiedzenia stolicy. Nie bez podstawy mówię to z taką pewnością o Galicji.

Kraj ten nawykł oddawna szukać tu swego środka ciężkości, a jego koryfeusze tutaj znajdują punkt oparcia; bogatsi mają tu swoje Eldorado, ubożsi marzą o Wiedniu jak o Arkadji, a wszyscy uważają to miasto jako zbiór wszystkich doskonałości.

Cała ludność wiedeńska już teraz bardzo żywo zajmuje się kwestją wystawy. Przygotowania do niéj stanowią najważniejszy po polityce i najpowszechniejszy przedmiot rozmowy; dzienniki poświęcają téj sprawie aż nadto dosyć miejsca, a rozmaite stowarzyszenia żywo nad nią rozprawiają. Wystawa powszechna w Wiedniu już dawno, bo jeszcze przed paryzką była zapowiedziana i to z niemałym rozgłosem, pomimo tego jednak, i chociaż termin jéj otwarcia tak bardzo się przybliżył, nader mało dotychczas zrobiono we względzie jéj urządzenia. Kto zna stosunki tutejsze i charakter ogólny austryjacki, którego główną cechą jest niepohamowana skłonność do biurokratyzmu,— kto wie jak to w Austrji wszystko powoli postępuje,— kto wie jak długiego namysłu wymaga u nas przeprowadzenie każdéj sprawy; nie będzie dziwił się temu.

Są narody, które z daleko mniejszym hałasem daleko więcéj robią, a wiele szybciéj postępują, u których myśl powzięta daleko prędzéj wciela się w czyn. U nas jak ze wszystkiem, tak samo ma

się rzecz z przygotowaniami do wystawy, ztąd też u patryjotów austryjackich bardzo słuszna powstaje obawa, aby i tym razem jak przed kilku laty francuzi, który inny naród nie uprzedził Austrji. Głównie idzie tu o „Prussy, czyli o zjednoczone Niemcy. Wprawdzie nie było dotąd mowy w Berlinie o wystawie, ale podobno nicby w tem nie było dziwnego, gdyby ;Prussy pokonawszy Francję na polu bitwy, zapragnęły dowieść także swojéj nad nią wyższości na polu przemysłu. Nie tylko dla Francji, lecz oraz i dla Austrji, także już na każdem polu przez Prussy pobitéj, byłoby to nader bolesnem upokorzeniem. Chociaż do otwarcia wystawy w terminie zapowiedzianym, stosunkowo mało zostaje już czasu, dotąd tego nawet nie wiemy dokładnie w którem miejscu Prateru, stanie potrzebny na jéj pomieszczenie pałaca—jaki będzie ten pałac i z czego, o tem może jeszcze nikt z tych co urządzają wystawę nie pomyslał. Bujna fantazja wiedeńczyków maluje go sobie w najcudniejszych kształtach, ale też i na tem koniec; dotychczas nie przysposobiono materjału na budowę, nawet plany nie są wygotowane. Tymczasem jak największy pośpiech koniecznie jest potrzebny, bo jeżeli w Paryżu pałac wystawy ze wszystkiemi urządzeniami nie mógł być na czas wykończonym, cóż dopiero będzie u nas, gdzie tradycjonalna powolność zarówno wrodzona jest wszystkim warstwom i klasom ludności, a zatem robotnikom, tak jak żywość francuzom. Dotąd jednak poczyniono tu zaledwie niektóre kroki, w celu utworzenia dyrekcji i biór wystawy. Naczelnikiem zamianowany został, z powszechnem rozmaitych odcieni zadowoleniem, baron Schwartz, który na wystawie paryzkiéj był dyrektorem oddziału austryjackiego i bardzo dobrze wywiązał się ze swego zadania: protektorem zaś brat cesarski Arcyksiążę Karol Ludwik. Natomiast złożenie komitetu wystawy napotyka na wielkie trudności. Ma się on składać, stosownie do projektu p. Schwartza, z 24 członków i liczba ta byłaby zapewne dostateczną—idzie tylko o to, jak ją rozłożyć na rozmaite narodowości monarchii. Otóż Niemcy, stanowiący najpotężniejszy chociaż nie najliczniejszy żywioł, radziby stanowić w komitecie większość, czemu znowu Węgrzy sprzeciwiają się stanowczo, a Czesi grożą, że wcale nie wezmą udziału w wystawie, jeżeli nie będą mieli w komitecie odpowiedniéj ilości reprezentantów. Żądanie to ich pod tym względem jest najsłuszniejsze: w Austrji bowiem największe znaczenie ma przemysł czeski. Jakkolwiek bądź, przynajmniej biuro złożone z 4-ch członków przez p. Schwartza wybranych, zostało zawiązane, można więc mieć nadzieję że już teraz śmieléj i prędzéj pójdziemy do celu.

(d. n.)

Ekonomja domowa.

Użycie majątku —Obowiązek —Miłosierdzie —Stowarzyszenia dobroczynne —Streszczenie kursu ekonomii domowéj.

W wykładzie naszym ekonomji domowéj przebiegliśmy cały szereg powinności, jakie wkłada na kobietę poprowadzenie domu i sterowanie rodziną tak, aby w nich panował porządek, ład, systematyczność i dostatek, a w następstwie tychże spokój, godność i szczęście. Wywiązać się z takowego zadania potrafi wychowanie rozumnie pokierowane, praktyką wzmocnione i rozwinięte.

Zapewne że perspektywa materjalnych korzyści jakie przynosi tak zrozumiana ekonomia domowa, znakomitym jest bodźcem dla gorliwości i zapłatą za usiłowania; — wszelako istnieje potężniejsza i szlachetniejsza pobudka, która wskazuje wyższy cel czynnościom życia tak rodziny prywatnéj jak rodziny ludzkiéj, podciągając te czynności pod zasadę obowiązku.

Tylko uczucie obowiązku, wszelkie nasze postępki namaszcza charakterem moralnym, wypełnieniu naszych powinności daje łatwość, powab i zasługę. Najświetniejsze wychowanie byłoby niezupełnem, gdyby się ograniczało na wpojeniu przekonania o szczęśliwych skutkach, jakie niechybnie odniosą umiejętny „nadzór, czynność niezachwiana i zaprawienia się do porządnéj i stałéj pracy. Wychowanie ma sprowadzić wszystkie czynności, wszystkie uczucia, wszystkie myśli do pierwiastku jednego i najwyższego. Tym pierwiastkiem jest miłość, poświęcenie.

Nie trzeba odbywać bardzo głębokich filozoficznych nauk dla uznania, że wszyscy mamy w duszy wyryte pewne prawa, według których łatwo nam rozpoznać, czyli jakowy postępek jest złym lub dobrym, to jest zgodnym lub sprzecznym z ową wiadomością dobrego, któréj światło nasz rozum oświeca. I to także wiemy, iż jesteśmy najzupełniéj wolnymi, że od nas zależy spełniać lub przekraczać to prawo obowiązku, które jednakże przedstawia nam się z charakterem obowiązującym.

Dla téj to właśnie wolności woli, któréj nam Bóg udzielił, jesteśmy istotami moralnemi, to jest zdolnemi do cnoty. Przedziwny to przywiléj naszéj natury! Jesteśmy panami naszych przeznaczeń i odpowiedzialni za kierunek jaki im nadamy. W tem źródło owego wewnętrznego wesela, tego zadowolenia niewysłowionego, którego żadna potęga odebrać nam nie może. Skorośmy życie nasze uczynili odbiciem wzoru Boskiego, który w sobie samych znajdujemy, wtenczas nam sumienie mówi, żeśmy dobrze zrobili, że spełniliśmy prawo naszéj natury, że czyn zgodny z tem prawem jest cnotą i zasługą.

Szczęśliwy kto za młodu nabrał zwyczaju słuchania tego wewnętrznego głosu, który mu niesie zarazem radę i nagrodę dobrego. W jakichkolwiek warunkach Opatrzność go umieści, znajdzie on szczęście w spełnieniu najcięższych nawet powinności: najsłodszą mu nagrodą będzie spokój i pogoda, zadowolonego sumienia dary. Nie bierzmy za jedno owego zadowolenia duszy, działającéj w celach dobra i obowiązku, z tą uciechą któréj doznajemy po dokonaniu jakowego zadania, przedsięwziętego w widokach powodzenia lub materjalnych korzyści. Szukajmy nagrody wyższéj, nie tak poziomą i pewniejszą miejmy do działania pobudkę.

Z tego zatem względu uważam ekonomię domową, jako jedną z gałęzi wychowania moralnego.

Pisarze traktujący ten przedmiot, pospolicie zamykali się w obrębie niektórych przestróg tyczących się prowadzenia gospodarstwa, utrzymania sprzętów, pożywienia i hygieny. Nauka ta w podobny sposób pojmowana, nie obudzi zajęcia w młodych osobach, i nie na bardzo wiele im się przyda. Z szerszym zaś poglądem, zajmie ona przynależne sobie stanowisko w dziedzinie naszych obowiązków.

To wszystko bowiem co młode osoby będą miały do spełnienia na łonie rodziny, w stosunkach ze społeczeństwem i ze światem, są to obowiązki, i ważne obowiązki.

Mniéj zatem szło mi o wyłuszczenie w szczegółach wszystkiego co do nich należy, przepisów urządzania czasu, zastosowania rozumu do działań życia, zawiadywania dochodami i wydatkami, — jak o rozwinięcie zalet umysłu i serca potrzebnych, by się godnie wywiązać z tego trojakiego zadania. Jeżeli czujność, działalność i porządek wpływają korzystnie na zarząd domowy, to dla tego że są cnotami, i że cnoty nie czem innem jak praktykowaniem pojęć dobrego, do których to pojęć odnosić się winny wszystkie nasze kroki.

Z tychże pojęć o dobrem, wypływają wszelkie nasze obowiązki względem siebie samych, względem naszych bliźnych i względem Boga.

Jesteśmy obdarzeni uczuciem, rozumem i wolną wolą: otóż najpierwszą naszą powinnością jest rozwinięcie tych darów, które stanowią naszą istotę. Mamy więc obowiązki względem ciała i względem duszy.

Natura sama ustanowiła stosunki pomiędzy członkami rodziny, i prawem samego jéj istnienia stworzyła obowiązki dzieci względem rodziców, rodziców względem dzieci, rodzeństwa pomiędzy sobą. Mądrość prawdziwa stara się o ścieśnienie coraz więcéj tych węzłów, nie tylko celem wykazania korzyści, jakie dla powodzenia rodziny mieszczą w sobie jedność, zgoda i miłość, lecz bardziéj jeszcze z tego powodu, że to są najkonieczniejsze obowiązki uznane rozumem, który się od nich uchylić nie może bez stawania w sprzeczności z prawem moralnem.

To samo ma się rozumieć co do stosunków wytworzonych przez społeczność pomiędzy członkami wielkiéj rodziny ludzkiéj. Skutkiem ich są niezaprzeczone korzyści, lecz pierwiastkiem jest zasada wyższa nad osobisty interes, prawo obowiązku.

Z wielkiem tem prawem spotykamy się wszędzie i zawsze.

Znajdujemy je w tem szczytnem uczuciu, które nas wiedzie do kochania bliźniego i służenia mu: w miłosierdziu. Miłość bliźniego, współczucie obudzające litość dla nieszczęścia, nie powinny być jedynie popędem wrażliwego uczucia. Ażeby miłosierdzie było skutecznem, aby się wzniosło do wysokości uczucia moralnego, źródło jego i pierwiastek muszą się odnaleźć w rozumie, który dając się powodować najtkliwszym natchnieniom, wie że spełnia obowiązek.

Z takim więc poglądem, ekonomia domowa będąc umiejętnością najlepszego zużytkowania *czasu, rozumu i pieniędzy*, wykazując korzyści jakie ztąd wypływają dla nas i dla drugich, nie powinna nigdy tracić z oczu warunków moralnych, bez których podobna nauka byłaby tylko zbiorem przepisów doświadczonych, a nie miałaby charakteru naukowego, skoro takowe nie odnosiłyby się do zasadniczéj prawdy wyższéj.

Naturalnem zatem następstwem rzeczy, jeżeli przezorność i oszczędność, te dwa wielkie prawa ekonomji domowéj, stanowią najpewniejszy żywioł szczęścia i dostatku dla rodzin, to są jeszcze szacowniejszemi pod innym względem, bo dają możność czynienie dobrze drugim. Niemniéj jest ważną umiejętność użycia na dobre majątku, jak nauczenie się sposobu nabycia go.

Szerokie pole stoi otorem dla dobroczynności rozsądnéj i czynnéj.

Nigdy w żadnéj innéj epoce jak obecna, ogół społeczeństwa nie okazał tyle rzeczywistego współczucia dla nędzy i niedoli, nigdy miłosierdzie nie zdobyło się na tyle mądrych pomysłów dla umniejszenia biedy i cierpień!

Kobiety oczywiście wielki wzięły udział we wszystkich stowarzyszeniach, przy wszystkich zakładach urządzonych w celu czysto chrześciańskim. Zrozu-

miały one, że istotne miłosierdzie nie zależy na rzuceniu złota, by się uwolnić od zasmucającego widoku.

Miłosierdzie publiczne nie załatwia się jedynie pieniędzmi: wymaga ono działalności, poświęcenia, częstego zwiedzenia miejsc gdzie cierpią.

Datki i ofiary podtrzymują nasze instytucje dobroczynne, uorganizowane wedle systematu zbyt mało znanego: a wiadomość taka właśnie powinnaby znaleźć jak najszerszy rozgłos.

Są serca niezmordowanéj czynności i miłosierdzie oddane mu w sposób prawdziwie godny podziwu.

Zarzucają bogatym paniom światowym: że są marnotrawnice, że myślą tylko o zmianie sukien co chwila podług mody, że najkosztowniejsze a niemodne oddają pannom służebnym, i tak bez zastanowienia szerzą zgubne upodobanie w niewłaściwym zbytku.

Otóż nie wszystkie są takiemi. Nie jedna kosztowne materje przerabia na kościelne szaty dla ubogich wiejskich świątyń. Do *żłobków* gdzie przytulają niemowlęta, do *ochronek* znoszoną bywa bielizna i odzież zdolne do użycia, choć bogatym już nie potrzebne. Biedne istotki od lat dwóch do sześciu, ze *żłobka* przechodzą do *ochrony*, gdzie je wychowują i odziewają; wtenczas z *domów pracy* i z *szatni* wychodzi stara odzież przerobiona i odnowiona za sprawą umiejętnéj i wytrwałéj pracy. Panie odwiedzające te zakłady szlą do nich dary wszelakiéj natury: składkami pomiędzy swojemi, są w stanie dostarczyć staranniejszéj odzieży dla dzieci zdolnych już do roboty, i częstokroć zakupić potrzebne narzędzia do ich pracy. Najlepszego prowadzenia dzieci, w dniu pierwszéj komunii dostają całkiem nowy ubiór.

Zarówno jak wiek młodociany, tak i starość i nędza, pieczołowitéj doznaje opieki w Zakładzie Towarzystwa Dobroczynności. Ochrony dla starców są obszerne i z dobrem powietrzem. Nieszczęście wyradza cierpkość charakteru: u wielu zachowało się uczucie godności, potrzeba więc ażeby widzieli poszanowanie dla nieszczęścia, ażeby ich nie upokarzały odbierane dobrodziejstwa. Dla zużytkowania resztek sił jakie im pozostały, każdy ma w ogrodzie kącik którego zajmuje się uprawą, pieleniem i zbiorem warzyw.

Przytułki dla wracających do zdrowia, dla niedołężnych, niezdolnych do pracy, posiadają biblioteki. Dopomagają one cierpiącemu wznieść myśl po nad dręczącą go boleść, i w dobroczynności ludzkiéj umiłować boską Opatrzność.

Ta uorganizowana dobroczynność odbiera nędzarzowi prawo zazdroszczenia i nienawiści ku bogaczom: niegodziwe uczucie mogą się zrodzić jedynie w sercu próżniaka lub złoczyńcy, który w każdym uczciwym człowieku widzi wroga.

Jeżeli nam już nie ściska serca widok żebraków odkrywających obrzydliwe rany lub straszne ułomności celem obudzenia naszéj litości, jeżeli przechadzając się nienapotykamy biedaka płaczącego, podczas gdy drudzy weselą się i gonią za zabawą, zawdzięczamy to najwięcéj szlachetnemu i czynnemu miłosierdziu, gorliwym poświęceniom bogatych pań światowych, tych właśnie, które ze swego życia i fortuny umieją wydzielać część ubogim należną.

Kobiety stowarzyszone do takich działań znajdują szlachetną nagrodę w spełnianiu tego posłannictwa; dając pokarm swojéj działalności w świętych miłosierdzia sprawach, unikają nudów nieodłącznych od bezczynności.

Dziełem zbawiennem, do którego kobiety najdzielniéj i najskuteczniéj przyłożyć się mogą, jest krzątanie się około szerzenia oświaty, nauki i ztąd wypływających zdrowych pojęć pomiędzy warstwami społeczeństwa pozbawionemi majątkowych zasobów. Ciemnota jest matką wszystkich występków, a grube obyczaje są najczęściéj rezultatem nieokrzesanéj inteligencji.

Kobiety francuzkie w wielkiéj liczbie łączą się do tego prądu, wiodącego dziś wszystkie umysły szlachetne i przezorne ku staraniom o oświatę ludową. Wszędzie gdzie się zakładają szkoły tak dla dzieci jak dla starszych, wszędzie gdzie się tworzą biblioteki dla ułatwienia wszystkim przystępu do dobrych książek, tam zawsze kobiety służą świętéj sprawie postępu i ulepszenia społecznego. Nie mogą one lepiéj spożytkować swego rozumu zarazem oględnego i trafnego, swéj gotowości do poświęceń dla wszystkiego co dobre i wzniosłe, jak w takiéj pracy i zabiegu.

Nie chcąc przekroczyć właściwego zakresu, nie podobna wyliczyć wszystkich zakładów dobroczynnych: poprzestać trzeba na krótkiéj wzmiance o powstaniu i dążności niektórych instytucji, założonych pod opieką pań z wielkiego świata.

Nietylko w wielkich miastach pozakładano warsztaty, szwalnie, domy pracy i szkoły fachowe. Oddawna już pełnią swoje czynności *instytuta rolnicze*, w których dzieci na wieś przewiezione trudnią się uprawą pól. Dzieło to prawdziwie cywilizacyjne, przeniesienie ludności z nędzy miejskiéj do życia wiejskiego. Taka myśl dobroczynna przewodniczyła założeniu *Domu sierot* w Igny przez ks: Mullois; a świeżo uorganizowaną została przez pana Drouyn de Lhuys *Opieka sierocych domów rolniczych*. Tym sposobem wyrwane z pośrodka miast wielkich i ludnych, gdzie wyżyć tak bardzo trudno i ciężko, gdzie tyle bywa pokus do złego, dzieci na świeżem powietrzu przy pracy stosownéj i regularnéj, czują się szczęśliwe i swobodne, czegoby nie zaznały wśród ogromnego steku ludności. Jest to więc najlepszy środek przysposobienia dla społeczeństwa silnych i zdrowych pracowników, którzy przytem sobie samym będą w stanie stworzyć byt szczęśliwszy i swobodniejszy.

Miłosierzdzie pomyślało także o młodéj robotnicy, któréj był moralny otoczony tyłu przepaściami. W szwalni lub w domu pracy nabywa zdolności i przyzwyczajenia do pracy, i na wypadek choroby nie będzie opuszczoną. Jedna z dam szlachetnych zapisała pałac na dom rekonwalescentek. Gdy siły znużone pracą straciły swoję dzielność, sprężystość, wtedy odpoczynek i czyste wiejskie powietrze odżywią je do nowych prac codziennych.

Bacząc troskliwie na wszystkie fazy żywota robotnicy, na wszelkie okoliczności odnoszące się do jéj bytu, miłosierdzie przewiduje jéj potrzeby: wypadało więc pomyśleć o spożytkowaniu produktów jéj pracy, i na to założyć domy sprzedaży. Cel ten został w pewnéj mierze osiągniętym przez *Stowarzyszenie pszczół*; dobrze to pomyślane godło, przypominające jedno z dzieł Opatrzności, w których dzieła ludzkie znajdują najdoskonalsze dla siebie wzory.

Nieodzowną jest koniecznością, aby nauka professji odbywała się pospołu i na równi z wychowaniem moralnem.

A więc *szkoły fachowe* rozmnożyły się od lat kilku za przewodem różnych osób lub stowarzyszeń, i ogromne oddają usługi. Pani Juljuszewa Simon godna małżonka znakomitego autora książki pod tytułem *Robotnica*, ma pod swoją opieką kilka z takich szkół, a tymczasem inne według tego samego planu założone, organizują się za staraniem księżny de Beauvau.

Nauka w tych zakładach udzielana, przysposabia korzystnie młodą dziewczynę do roztropnego oddania się swemu zawodowi. Zacne kobiety przewodniczące temu dziełu, nie zaniedbały żadnéj strony wychowania: w wolnych godzinach uczennica znajduje umysłową zabawę, na wytchnienie po mozolnych zatrudnieniach swego powołania.

Wychodząc z téjże saméj zasady, wielcy rękodzielnicy i przemysłowcy powzięli myśl zaoszczędzenia sił robotnika, zmniejszając liczbę godzin pracy, a pozwalając mu rozwijać swoje władze nauką. Samo już używanie machin zdziałało przemianę w robotniku, który już być nie może narzędziem biernem, lecz musi przyjąć rolę czynną i rozumną.

Wymieniwszy ważniejsze stowarzyszenia dobroczynne stopniami od najniższych szczebli, przychodzimy z kolei do zakładów wyższego rzędu, przy których zarówno współdziałanie dam opiekunek okazało się potrzebnem i pożytecznem.

W klasach średnich majątkowem położeniem, a w szczególności takich jak: urzędnicy, artyści, literaci, trafia się niedola o któréj nikt nie wie, a któréj się należy najżywsze współczucie. Dla tych znalazły się hojne ofiary, najszlachetniejsze poświęcenie. Tego rzędu sieroty otrzymują w wielkich zakładach wychowanie i wykształcenie wyższe, odpowiednie społecznemu stanowisku ich rodzin, i tym sposobem nauka ich i talenta mogą im zapewnić byt i zaszczytną niezależneść. Dzieci tam odbierają nagrodę za zasługi ojców w takich zawodach, gdzie łatwiéj o chwałę niż o majątek.

Instytucya *Najświętszéj Panny* urzeczywistnia część tego programu, sposobiąc młode panny do zawodów artystycznych.

W końcu dodać winniśmy, iż także gorliwym zabiegom stowarzyszonych kobiet, w wielkiéj części zawdzięczamy nasze kursa naukowe wyższe dla panien, które, tuszyć sobie możemy, że z Bożą pomocą będą kamieniem węgielnym pożądanéj reformy wychowania kobiecego.

Jako streszcznie i zakończeuie uwag o dobrem użyciu pieniędzy, zdaje się bardzo właściwem przypomnieć raz jeszcze Franklina, którego nie już teorje, ale przykład życia smiało za wzór stawić można.

Dobrem użyciem czasu przyszedł on do nauki, wziętości, sławy, szcześcia i majątku.

Czas, rozum i majątek oddał na usługi bliźnim.

Wszystkie swoje władze i zasoby kierował ku udoskanaleniu siebie samego.

On także uważał oszczędność jako środek do nabycia majątku, lub przynajmniéj do zachowania posiadanego. Lecz znał i to, że zabiegi o materjalny interes nie powinny pochłaniać umysłu i serca człowieczego; że wzbogacenie się ułatwia oraz środki do ulepszenia moralnego swojéj istoty; że każdy człowiek powinien utrzymywać dwie rubryki rachunków, jednę do sprawdzania rezultatów swojéj oszczędności i zabiegliwości, drugą do skrupulatnego wciągania w regestr, cnót któremi zdołał przyozdobić swoją duszę, i wad których potrafił się pozbyć.

Tak pisał on w kalendarzu *poczciwca Ryszarda* na rok 1756.

„Otóż znów rok się kończy.

„Jeżeli jesteś dobrym handlarzem, biegłym w prowadzeniu interesów, przejrzysz i zsumujesz twoje rachunki, by się dowiedzieć czyś zyskał lub stracił w ciągu tego roku, — i jak wiele?

„Według tego urządzisz nadal twój handel i domowe wydatki.

„Bardzo to dobrze,—ale to nie wszystko.

„Czy nie przejrzysz także twoich rachunków moralnych, żeby przekonać się, ile też zyskałeś w prowadzeniu twego życia? jakiéj wady pozbyłeś się, jakiéj nabyłeś cnoty?

„Bogatszym jesteś o taką lub owaką summę, — o ileż stałeś się mędrszym i lepszym?

— „Na co się zda człowiekowi choćby świat posiadał, jeżeli utraci swoją duszę?

„Jeżeli na to uwagi nie zwrócisz, napróżno będziesz miał miljony w skrzyniach, wydasz się ubogim nawet tu na ziemi, w oczach tych co patrzeć umieją — a istotnym będziesz nędarzem w wieczności.

Utrzymujmy więc ten rachunek materjalny i moralny, i tyle się przynajmniéj troskajmy o zbogacenie ducha, co o zwiększenie fortuny". *Gor...*

Druk. K. Kowalewskiego (ul. Królewska N.1066*k*). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód N. 34. 1871 r.

PAMIĘTNIK WACŁAWY

ZE WSPOMNIEŃ MŁODEJ PANNY

ułożony przez

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg.)

Ze wszystkich kątów wydobywała się woń pyłu i wilgoci, od posadzki do sufitu rozpostarł się chłód przejmujący i walczyć się zdawał z rzadkiemi promieniami słońca, które blade i drżące napróżno ślizgały się po szybach okien i firanek, do wnętrza mrocznéj szuflady przedrzeć się nie mogąc. Nikt nas nie spotkał, ani w bawialnym salonie, ani w kilku dalszych pokojach, które wszystkie zaniedbane były, wpółciemne jakby zamarłe. Można by rzec, iż był to pałac jakiś zaczarowany, w którym obrały sobie mieszkanie, zmrok, smutek i milczenie. A towarzyszyła im jeszcze duma wielka, dogorywająca już wprawdzie ale jeszcze wyniosła, jeszcze przemawiająca z każdego sprzętu, ścian, obrazów, pysznych złoconych ptaków, co w poczerniałych dziobach trzymały firanki u każdego okna i u każdych drzwi rozpościerały skrzydła swe nad głową wchodzących.

Nakoniec o uszy nasze obił się stłumiony szelest złożony z cichych stąpań, cichszych jeszcze szeptów i cichszego jeszcze głosu jakiegoś, jednego który jak się zdawało odmawiał modlitwę.

Matka moja płakała pocichu, ja jedną ręką wspierając jéj ramię, drugą otworzyłam drzwi nawpół zamknięte.. Były to te same drzwi, przez jakie przed laty kilku ostatni raz widziałam moją babkę, spoczywającą na kanapie, z głęboką bruzdą na dumnem czole, z głową która już wtedy uginać się zaczynała pod niewidzialnym ciężarem, jaki zawisł nad nią.

Na łożu usłanem z całym przepychem batystów i haftów, pod okryciem szeroko oszytem gronostajowem futrem, i zwieszającem aż na puszysty kobierzec okrywający posadzkę, leżała postać kobieca nawpół już ogarnięta sztywnością śmierci. Twarz jéj nie była powleczona brzydką żółtością, jaka często pokrywa oblicza mające wkrótce poślubić się z ziemią, ale była biała kredową białością, która zaległa nawet wargi wązkie i szczelnie spojone, a którą przerzynała tylko delikatna sieć niebieskawych żyłek na skroniach, i wychudłéj białéj jak kreda szyi. Policzki zapadły, czoło przerznięte kilku głębokiemi bruzdami, nawpół przysłonięte było pasmami siwych włosów, które wymykając się z pod koronkowego czepca, nie zwijały się już jak dawniéj w regularne loki, ale gęstym potokiem srebrnych nici opadały z obu stron głowy, na szeroką koronkę kołnierza i śnieżny batyst rękawów przeświecających wychudłe białe ręce, sztywnie wyciągnięte na pąsowym atłasie okrycia. Głębokie wklęsłości w jakie zapadły oczy umierającéj, nie okazywały jeszcze martwego spokoju lub ostatnich męczarni, zdawało się że gdy całe to ciało dawniéj tak proste i wyniosłe, legło rozciągnięte pod twardem dotknięciem nadchodzącéj śmierci, dawna duma schroniła się do źrenic, i lubo zamierająca już i sztywniejąca, pałała w nich jeszcze pod osłoną gęstych, białych brwi, niezsuniętych bólem i harde nad białemi powiekami kreślących łuki. Z tym wyrazem zastygającéj lecz nie umarłéj dumy, wśród któréj błąkał się zaledwie tylko słaby cień niepokoju, umierająca trzymała oczy nieruchomo utkwione w jeden przedmiot...

Przedmiotem tym była młoda kobieta klęcząca u nóg łoża, w czarną powłóczystą suknię ubrana. Śniady, energiczny profil jéj twarzy, wyrażał surowe skupienie ducha, warkocze hebanowéj czarności grube i gdzie niegdzie nicią bielejącego włosa przeplecione, z hardą prostotą odrzucone nad marmurowo gładkiem czołem, spadały na szyję jéj i do połowy prawie przykrywały smukłą i gibką kibić. Powieki o długich czarnych rzęsach spuszczała ku nabożnéj książce, którą trzymała w ręku, a przedziwnych kształtów blado różowe jéj usta, poruszały się zwolna i zniżonym głosem czytały modlitwę. Była to Rozalja.

Naprzeciw Rozalji wsparta o wysoką poręcz łoża, tuż nad głową umierającéj stała nie młoda kobieta, w białym czepeczku włożonym na czarne gładko nad skroniami zaczesane włosy. Na ciemnéj okrągłéj jéj twarzy nie było żadnego wyrazu, któryby świadczyć mógł o jéj wewnętrznem w téj chwili usposobieniu. Znać nie uznając za przyzwoite okazywać istotne swe uczucie, wolała ściągnąć z twarzy swéj wszelki wyraz i uczynić ją całkiem nieruchomą. Oczy jéj spuszczone były, ręce pobożnie splecione na poręczy łoża, głowa pochylona także pobożnie i pokornie, i tylko usta nieposłuszne woli, hamującéj wszelkie objawy poruszeń duszy, otwierały się co moment, aby pokazać dwa rzędy białych błyszczących zębów.Były to jakby uśmiechy zatrzymywane w przelocie, wpierane gwałtem w głąb piersi ale wyrywające się zawsze, aby przez chwilę na nieruchomą twarz rzucić brzydką łunę zjadliwéj radości.

Na przyćmionem tle zasłoniętego firanką okna, niewyraźnie rysowała się pochylona postać staréj kobiety, w czarnéj szacie, z głową okrytą koronkowym czepcem i opadłą na piersi. Usta miała zwarte, białe i wyschłe ręce nieruchomo splecione na kolanach, wzrokiem w którym zagasł wszelki blask życia i myśli, nawpół tylko przytomnie wodziła po pokoju. Od czasu do czasu tylko rozwarły się blade wargi i szepnęły parę niedosłyszanych wyrazów skargi czy modlitwy,—od czasu do czasu także zagasłe oko zatrzymywało się na kredowo białéj twarzy umierającéj, i łza jedna gruba staczała się zeń po zmarszczonym i wyschłym policzku. U progu stało kilka służebnych, przytulonych do siebie i z wyrazem przestrachu na twarzach. W perspektywie kilka drzwi otwartych, w odległym pokoju widać było księdza zdejmującego z siebie białą komżę i służbę kościelną krzątającą się około przyrządów, które przed chwilą widać służyły kapłanowi do udzielenia Sakramentów ostatnich...

Cisza głęboka panowała w pokoju, przerywana tylko ciężkim oddechem choréj i monotonnym głosem Rozalji odmawiającéj modlitwę. Mroczne tło pokoju przerzynały od czasu do czasu nagle ukazujące się i nagle znikające dwa rzędy białych zębów p. Rudolfowéj, i zdawały się wieść dziwaczną ostrą rozmowę z grubą łzą padającą niekiedy z zastygłego oka babki Ludgardy, na czarną jéj szatę i zwarte blade wargi.

Kilka minut stałyśmy w progu niepostrzeżone przez nikogo, gdy nagle głośniejsze nieco łkanie wydarło się z piersi mojéj matki. Na odgłos ten pani Rudolfowa podniosła spuszczone pobożnie oczy, wzrok jéj upadł na nas, ręce pobożnie złożone rozpłotły się, a z za białych zębów, które się pokazały w całym swym blasku, wyrwał się okrzyk zdziwienia i gniewu....

Rozalja podniosła powieki i przestała czytać modlitwę, a idąc za wzrokiem swéj matki spojrzała na nas. Wnet podniosła się z klęczek milcząca i surowa, i skinęła nam zdala głową na powitanie. Babka Hortensja wyprężyła na nią wzrok, i z piersi wydobyła dźwięk niewyraźny, brzmiący jednak pytaniem. Rozalja postąpiła parę kroków, pochyliła się nad nią, milcząc ciągle, ujęła bezwładną głowę jéj w obie dłonie i zwróciła ją ku nam. Zapadłe i gasnące ale dumne jeszcze i surowe oczy babki Hortensji, długo błądziły po pokoju, gdyż nie było już w nich dość siły, aby od razu trafić mogły na przedmiot wskazywany im wyciągniętą ręką Rozalji;—nagle zobaczyła nas, w źrenicach zamigotało coś jakby radość, rzuciła się na łożu z głuchym okrzykiem, chciała podnieść się, ale nie mogła, chciała wyciągnąć ręce i tego nie mogła, i różowe plamki wystąpiły na kredową białość jéj policzków.

W mgnieniu oka obie z matką klęczałyśmy przy niéj.... Kilka chwil trwała niema rozmowa jaką prowadziły z nami oczy umierającéj... Nagle babka Hortensja oderwała wzrok od naszych twarzy, a przeniosła go na twarz Rozalji, ta przyzwyczajona znać rozmawiać niemą mową jéj oczów, wnet zbliżyła się milcząca ciągle i surowa. Babka uczyniła wysilenie, i ciężką rękę oderwawszy od atłasu okrycia, do którego zdawała się być przyrośniętą, wyciągnęła ją w stronę bióra stojącego przy przeciwległéj ścianie. Rozalja postąpiła w kierunku jéj ręki, i zwrócona do niéj z pytającą się twarzą, dotknęła wskazującym palcem ćwiartkę białego papieru. Powieki choréj opuściły się parę razy w dół, potakująco. Rozalija uklękła przy łożu i w sztywne palce włożyła ołówek. Nastąpiła długa chwila grobowéj ciszy, w czasie któréj ręka mojéj babki tworzyła na papierze dziwaczne gzygzaki i kropki, pomiędzy któremi z trudnością zaledwie upatrzyć można było słabe liter zarysy. Z za wysokich poręcz łoża wyglądała wciąż twarz śniada i okrągła, w białym czepeczku na gładkich włosach, ale teraz nie spuszczała pobożnie powiek i nie zwierała warg z przymusem. Dwoje okrągłych czarnych oczu zjadliwie wpijało się, to w twarze nasze, to w ciężką rękę choréj, a białe zęby błyszczały okropnym uśmiechem...

Z palców choréj wypadł ołówek, ręka jéj opadła sztywnie pomiędzy bogate futro okrycia, jęknęła znużona wysilen iem i przymknęła powieki. Rozalja podniosła ćwiartkę papieru do oczu, wpatrywała się weń parę minut z wytężeniem, a potem pewnym i podniesionym nieco głosem wymówiła: *świadków!* Poczem położyła papier na stole, i jednostajnym powolnym krokiem, z surową i milczącą twarzą opuściła pokój.

Myśmy zostały stojące przy łożu, wpatrzone w twarz umierającéj, głęboko smutne. Pani Rudolfowa wysunęła się z za poręczy i postąpiła parę kroków, nie zbliżyła się jednak do nas i nic nie mówiła; czułyśmy tylko że pożerała nas oczami, a gdy raz rzuciłam na nią przelotne wejrzenie, zobaczyłam iż stała z rękami skrzyżowanemi na piersi, w postawie oczekującéj niemal wyzywającéj, a tak osłonięta fałdą zasłony spuszczającéj, się nad łożem, aby ją chora widzieć nie mogła. Babka tymczasem leżała nieruchomie, zmęczona, z przymkniętemi powiekami, tylko brwi drgały od chwili do chwili, albo ręce poruszały się i zadrżały, jakby chciały wyciągnąć się dla objęcia lub odepchnięcia czegoś lub kogoś, ale zawsze opadały bezwładne, a wtedy głuche westchnienie wydzierało się z jéj piersi.Znać było że w tym ciele zgruchotanem niemocą, żyła i mocowała się jeszcze dawna wola niezłomna, że pod tą czaszką spoczywającą na śmiertelnem węzgłowiu, pracowała jeszcze myśl przytomna, a w piersi wyschłéj i nawpół objętéj śmiercią, huczały ostatnie żądania, kto wie, zgryzoty może i żale gorzkie...

W przyległym pokoju słyszeć się dały liczne kroki. Na progu stanęła Rozalja, a za nią ukazało się kilka osób. W liczbie tych ujrzałam mego narzeczonego, Emilję, starych sług domu, dwóch czy trzech mężczyzn z sąsiedztwa, którzy może przybyli przed chwilą wiedzieni ciekawością, czy współczuciem dla umierającéj. Rozalja zwolna zbliżyła się do łoża i kładąc dłoń na ręku choréj, pochylając się nad nią wyrzekła podniesionym głosem: „Babciu! przywiodłam ci świadków których żądałaś.“ Na te jéj słowa p. Rudolfowa postąpiła parę kroków, zmierzyła ją od stóp do głowy piorunującém wejrzeniem, i po raz pierwszy od chwili naszego przybycia, odezwała się głosem tłumionym, podobnym do cichego syczenia zjadliwego węża:

— Słuchaj! po co mięszasz się w nieswoje sprawy! Co do ciebie to wszystko należy? Idź precz!

Rozalja podniosła powieki i wzajemnie od stóp do głowy zmierzyła matkę spojrzeniem. Ale nic nie rzekła, tylko pochyliła się nad babką i raz jeszcze powtórzyła:

— Babciu! przywiodłam ci świadków!

— Idź ztąd wyrodna dziewczyno! syknęła raz jeszcze p. Rudolfowa. Rozalja porywczo odwróciła głowę, twarz jéj pałała, oczy ciskały gniewem, ale na ustach wisiał uśmiech słodyczy i czoło było marmurowo spokojne.

— Matko! wymówiła, składając ręce, czy naprawdę myślisz, że powinnam posiadać godną zazdrości moc charakteru,sprzeciwiania się ostatniéj woli umierającéj? Czy naprawdę tak myślisz? powiedz mi proszę cię; czy w istocie takie masz zdanie, bo ja sądziłam dotąd, że w obliczu śmierci należy ukorzyć się i stać się lepszą dla tych, co idą od nas w nieznane krainy — na zawsze!...

To rzekłszy pochyliła się znowu ku babce i raz jeszcze powtórzyła: babciu! przywiodłam ci świadków!

Babka Hortensja podniosła powieki i potoczyła okiem po otaczających. Gdy wzrok jéj upadł na twarz hr. Witolda, błysk zadowolenia przemknął po białych jéj wargach. Spojrzała wymównie na Rozalję, ta skinęła na mego narzeczonego, aby się zbliżył, a potem na nowy znak uczyniony oczami choréj, do ust jéj przyłożyła ucho. Białe wargi babki Hortensji poruszały się z trudnością, do nas najmniejszy z nich nie dochodził odgłos. Ale Rozalja przez długi znać szereg dni i nocy, przyuczyła się rozumieć tę bełkotliwą mowę śmierci. Słuchała bacznie, z natężeniem, z całkowitem wszystkich władz skupieniem, niekiedy przestawała słuchać a tylko bystrym wzrokiem wpatrywała się w ruchy warg umierającéj, nareszcie wyprostowała się i zwracając twarz do obcych, wymówiła powoli i wyraźnie:

— Babka moja powiada, że ma zamiar dokonać teraz ostatni akt swojéj woli, ażeby prawda jego i istotność żadnemu zaprzeczeniu podledz nie mogły w przyszłości. Wzywa zatem wszystkich zgromadzonych tu na świadków, a mianowicie obecnego tu hr. Witolda, dla którego lubo nie była z nim nigdy w zażyłych stosunkach, czuje szczególniejszy szacunek i zaufanie.

Wszyscy skłonili się w milczeniu i z uszanowaniem. Parę minut znowu cisza trwała głęboka, aż babka moja z niezmiernem wysileniem, które znamionowało niezgasłą jeszcze dawną siłę jéj woli, oparła dłoń o poduszki łoża, a wsparta na niéj dźwignęła się do połowy i usiadła. Różowe plamy wysileniem sprowadzone, zabarwiły znowu jéj białe policzki, oczy błysnęły z dawną mocą, głowę wyprostowała i podniosła dumnie. Zdawało się że tuż, tuż, przemówi dawnym swym głosem dźwięcznym, wyniosłym, nakazującym. Ale daremnie wargi jéj poruszały się i pierś pracowała, aby wydać jakiekolwiek zrozumiałe dźwięki. Wyszło zeń tylko parę brzmień głuchych, rażących, podobnych do tych jakiemi odzywają się ludzie niemi. Na chwilę dumną głowę oparła na pierś pracującą ciężkim oddechem, ale wkrótce podniosła ją znowu i z oczami wlepionemi w Rozalję, wyciągnęła trzęsącą się rękę w stronę w któréj stało bióro. W téj samej chwili pani Rudolfowa wysunęła się z za firanek i stanęła tak, aby zakryć te przedmioty znajdujące się we wskazywanem miejscu. Ale po ustach Rozalji przebiegł pogardliwy uśmiech. Postąpiła parę kroków, i kierowana ciągle wzrokiem i ręką babki, położyła dłoń na niewielkiéj srebrem inkrustowanéj szkatułce, którą przysłaniały plecy pani Rudolfowéj. Twarz babki rozpromieniała się. Powieki jéj potakująco mrugnęły kilka razy. Ale pani Rudolfowa pobladła bardzo, z iskrzącym się wzrokiem i bez najmniejszego słowa pochwycila ramię córki, i z siłą jaką tylko gniew i przestrach dać może, odepchnęła ją aż do przeciwległéj ściany. Potem żywo postąpiła, i stanąwszy naprzeciw babki wlepiła w nią wzrok przeszywający. Oczy choréj spotkały naprzód ten wzrok śmiało i dumnie, ale po chwili źrenice zaczęły mglić się, powieki drżały, czoło marszczyło się wargi ścisnęły się z wyrazem bólu, i z głuchym jękiem babka moja upadła na poduszki zamykając oczy, a w téj saméj chwili na śniadéj twarzy kobiety która przed nią stała, błysnęły dwa rzędy śnieżnych zębów. W téj niemej grze spojrzeń która trwała kilka sekund, objawiła się cała długa historja głuchéj walki dwóch istot, stopniowego brania przewagi niewolnika nad panem, pochlebcy nad bogaczem, i ostateczne zwycięztwo płaskiéj gadziny, która oplątała stopy, rozum i wolę istoty dumnéj i napozór niezłomnéj.

Ale krótkim był uśmiech okropnego tryumfu, jaki w całym blasku ukazał zęby p. Rudolfowéj, bo hr. Witold z chmurą na czole i wielką powagą, postąpił ku biórku, wziął szkatułkę jakiéj wprzódy dotykała Rozalja, a zwracając się do niéj, która jak skamieniała stała przy ścianie gdzie odepchnęła ją matka, zapytał głośno:

— Kluczyk?

Rozalja szybko przebiegła pokój, i dobywszy mały złoty kluczyk z pod jednéj z poduszek babki, podała go hrabiemu. Otworzył szkatułkę i wydobył z niéj spory zwój papierów, zapieczętowany w dużéj kopercie kilku herbowemi pieczęciami.

— Jak się zdaje jest to testament pani Hortensji, wymówił. Rozalja skinęła głową potakująco.

— Czy możesz pani przywołać babkę swą do przytomności? zapytał.

Rozalja podeszła znowu do choréj, przyklękła przy niéj, położyła dłoń swą na jéj ręku i nachyliwszy się prawie do jéj ucha, zawołała: Babciu! oto testament twój zostaje już w ręku hr. Witolda, co chcesz aby z nim uczynić?

Babka podniosła powieki, ale tym razem w źrenicach jéj słaby już tylko zostawał blask życia i myśli przytomnéj. Zdawało się, że jakaś trwoga niepojęta od chwili do chwili wstrząsała jéj brwiami i powiekami, nakoniec z wielką ciężkością zwróciła wzrok swój na moją matkę, która stała ciągle u jéj łoża blada, przerażona i spłakana. Popatrzyła na nią chwilę, potem na mnie. Przez cały ten czas p. Rudolfowa starała się spotkać wzrokiem jéj oczy, ale nie mogła, bo źrenice babki z ostatkiem zda się przytomności i energii unikały miejsca na którem stała. Hrabia Witold ze zwojem papierów w ręku wydobytych ze szkatułki, zbliżył się i łagodnym głosem zapytał:

— Co pani z tem pismem uczynić rozkażesz?

Nic nie odpowiedziała... Usiłowała tylko odpowiedzieć, ale nie mogła.

— Babciu! powtórzyła Rozalja, co chcesz uczynić z tem pismem?

Jeszcze nie odpowiedziała.

Nagle krzyknęła z głębi piersi, wyprężyła ręce, pochwyciła niemi okrycie z konwulsyjną mocą, dźwignęła się, usiadła. Na policzkach jéj nie różowe już plamki, ale krwawe osiadły rumieńce, oczy pałały, widać było że w téj chwili odbył się w niéj ostatni akt żelaznéj woli, że był to ostatni wybuch dogorywającego płomienia.

Parę sekund poruszała wargami nie mogąc wydobyć z siebie żadnego głosu, nakoniec rozległ się po pokoju szept bezdźwięczny, głuchy ale tak wyraźny, tak przenikający, taki potężny grobową jakąś mocą, że obił się o wszystkie kąty pokoju, a twarze przytomnych pobladły.

— Odmienić! szeptała moja babka, a oczy jéj otwierały się coraz szerzéj, i głowa trzęsąca się rozwiewała siwe włosy po białéj pościeli—chcę odmienić..

Nie mogła dokończyć wyrazu, ale rękę ostatniem życia drżeniem wstrząsaną, wyciągnęła ku mojéj matce.

— Skrzywdziłam! zawołała zawsze tym samym okropnym szeptem: oddać jéj połowę... połowę...

Nagle umilkła, wargi jéj trzęść się zaczęły, oczy utkwione w jeden punkt rozszerzyły się niezmiernie i napełniły paniczną trwogą, po chwili stały się szklanne, okropne drgnienie wstrząsnęło całem ciałem, z przeszywającym jękiem upadła na poduszki, szklannego wzroku nie spuszczając z przedmiotu, który zdawał się w niéj wzbudzać śmiertelną trwogę. Wszyscy zwrócili oczy w kierunku szeroko rozwartych źrenic babki, i wszystkich oczy zbiegły się na postaci p. Rudolfowéj. Okropną była w téj chwili! Cała brzydka, niemniéj jednak uporczywa energia téj istoty, skupiła się teraz w jéj wejrzeniu którym piorunowała konającą. Buchał zeń ogień jakiś szatański, rozkazujący, groźny, a okropną sprzeczność stanowił z nim uśmiech który wisiał na ustach, żałośny dla ludzi, szyderski, pełen żółci i jadu dla téj którą nim gromiła.. Kiedy z dreszczem wstrętu odwróciłam od niej oczy, babka moja martwa już leżała pod swem okryciem z atłasu i grono-

stajów, a w téjże chwili wybuchnął za mną spazmatyczny płacz kobiecy, pełen jęków, krzyków i głośnego szlochania. Była to pani Rudolfowa, która rzuciła się na posadzkę, łamała ręce, targała włosy i w okropny sposób wykrzywiała twarz, na którą żadną miarą nie chciał wstąpić wyraz szczerego żalu.

Od wstrętnéj téj komedji wszyscy odwrócili oczy, i z uroczystą czcią jaką śmierć wzbudza przenieśli na umarłą.

Ostatnia sekunda konania starła z jéj twarzy trwogę i boleść, a na czole dawną położyła dumę, usta w surowe zagięła zarysy i gdyby nie sztywność śmiertelna można by sądzić, że ze snu chwilowego babka moja powstanie za chwilę wyniosła i wyprostowana jak dawniéj, i w długie a cienkie palce białością swą odbijające od pąsowego atłasu okrycia, ujmie kłębuszek bawełny setnego numeru i mikroskopijne gzygzaczki frywolitków.

Ale nie był to sen chwilowy; był to sen wiekuisty, i srebrny koszyczek napełniony bawełną stał w bawialnym salonie na jednym z czterech stołów, przed jedną z czterech kanap i zdawało się, że tak już wiecznie stać będzie w pyle i zapomnieniu, i że nikt nie rozpocznie na nowo téj zaniedbanéj dziś, pajęczéj i arystokratycznéj roboty mojéj babki.

Ten stos drobniutkich kółek gzygzaczków i gwiazdeczek, byłżeby jedynem dziełem, jakiego przez długie swe życie dokonała pani tego domu, w którym teraz rozlegały się śpiewy żałobne, i dymy kadzideł palonych przy umarłych, włóczyły się od wysokich sufitów aż do zapylonych parkietów?

Prawdopodobnie — bo w ścianach tego domu rozlegały się śpiewy, włóczyły się dymy kadzideł, na palcach stąpało ludzi mnóstwo, ale żalu szczerego nie było nigdzie, ale łez prawdziwego smutku nie wylewał nikt, nikt prócz mojéj matki. Wprawdzie we wszystkich stronach domu od rana do nocy rozlegało się głośne zawodzenie, szlochanie i jęki, ale było to zawodzenie, szlochanie i jęki p. Rudolfowéj. Gdy sądziła że nikt ją nie widzi, przestawała szlochać i siedziała z powiekami pobożnie spuszczonemi na wypadek czyjego wejścia, ale na ustach z dziwnym uśmiechem, który w całéj wspaniałości okazywał białość jéj zębów.

Przez całą noc i cały dzień następny, i jeszcze przez noc jedną i jednego dnia połowę, brzmiały śpiewy księży i paliły się kadzidła, aż nakoniec trzeciego dnia o zmroku, salony napełniły się tłumem krewnych bliskich i dalekich sąsiadów, bliskich i dalekich znajomych, o wiele mil przybyłych dla uczestniczenia pogrzebowi wielkiéj pani, która niestety być już taką przestała. W tym tłumie gości byli; krewni dalecy i bliscy, sąsiedzi dalecy i bliscy, znajomi o wiele mil przybyli,—ale... przyjaciół nie było. Nie miała ich babka moja, i z wyjątkiem matki mojéj i kilku sług starych, którzy płakali więcéj z przyzwyczajenia niż z przywiązania, najgrubszą po niéj żałobą zdawały się być okryte frywolitki, rozsypane na stole wkoło srebrnego koszyka, szare od pyłu.

Towarzystwo zebrane było znajome nam i nieznajome zarazem. Matka moja przepędziła z tymi ludźmi wiele lat życia, jam także żyła niegdyś pomiędzy nimi młodziuchną będąc dzieweczką, ale dziś twarze nasze poważne i suknie wełniane, obco wyglądały w tem gronie, w którem oblicza przymuszały się tylko z trudnością do urzędowéj powagi, i w którem stroje, lubo zastosowane do okoliczności, więcéj były bogate niż żałobne. To też zaledwie zwracano na nas uwagę, można nawet powiedzieć że wcale nie zadawano sobie tego trudu. Czemże bowiem byłyśmy w tym domu starożytnym i bogatym? Ubogiemi krewnemi zmarłéj jego pani, wyrobnicami pracującemi na chleb swój codzienny, istotami nieposiadającemi żadnéj *pozycji* w świecie. W wielu oczach nawet tkwiło podejrzenie, żeśmy przybyły tu wiedzione płaską nadzieją odziedziczenia czegoś po kobiecie, z którą za życia jéj zerwałyśmy stosunki pokrewieństwa i znajomości.

Ale to lekceważenie ogólne nie było już dotkliwem dla mojéj matki, naprzód dla tego, że w szczerym pogrążona żalu niewiele zwracała na nie uwagi, a najbardziéj dla tego, że serce jéj powoli i z trudnością wydobywając się z morza blasku i próżności, w jakiem pogrążyła je była przeszłość, zostało nareszcie skąpane w czystych wodach uczciwie znoszonego i zwyciężanego ubóstwa, i teraz stanęło w obliczu dawnéj swéj zagasłéj świetności, uspokojone dumą i pełną pogody i przebaczenia prostotą. I jam kiedyś była taką samą jak oni! szepnęła mi na ucho w chwili, gdy dawne sąsiadki jéj i znajome witały ją z chłodem i ledwie tajonem lekceważeniem...

A ja? jam nic nie widziała wkoło siebie, oprócz tego groźnego i uroczystego obrazu śmierci, któremu po raz pierwszy przyglądałam się zbliska, i nic nie czułam prócz troskliwéj ojcowskiéj niemal opieki, jaką w tłumie i zamięszaniu dom napełniającym, roztaczał nade mną mój ukochany. Zawsze znajdywał się tam gdzie i byłam, strzegł mię od opuszczenia i zaniedbania, ułatwiał trudne położenie ubogiéj dziewczyny przybyłéj do śmiertelnego łoża bogatéj krewnéj, zasłaniał przed szyderczemi uśmiechami i złośliwemi podejrzeniami tych, co radziby widzieć we mnie chciwą istotę czyhającą na spadek, a co najważniejsze było dla wszystkich, na spadek o którym wiedziano powszechnie, że dostanie się komu innemu. Około osoby, któréj spadek ten prawdopodobnie miał się dostać, skupiały się wszystkie świetności i wielkości przybywające na pogrzeb bogatéj pani. Liczne grono otaczało wciąż p. Rudolfową. Wszyscy starali się pocieszać ją, z całéj mocy w gruncie będąc przekonani, że rozpacz a nawet smutek dalekiemi od niéj były.

Ale nie należało to wcale do rzeczy. Czyliż nie dawała ona wszelkich pozorów żalu, a światu czyliż nie najbardziéj chodzi o pozory? A zresztą i przedewszystkiem, czyliż nie miała zostać dziedziczką Rodowa? Od chwili śmierci mojéj babki, świat dorozumiewać się w niéj zaczął osoby bogatéj, a łzy ludzi bogatych to w oczach świata złoto i brylanty... któż się pyta o to ażali nie są fałszywe?

Nakoniec orkiestra sprowadzona z najbliższego miasta, zagrzmiała pod oknami domu posępnym, żałobnym marszem, z marmurowych wschodów ganku niesiono aksamitem i srebrem obleczoną trumnę, i postawiono ją na wozie zasłanym kirem i zaprzężonym sześciu czarnemi rumakami—kilkadziesiąt pochodni zapłonęło wśród zmroku czerwonemi światłami, i cały orszak długą krętą nicią snuł się po dolinie ku wzgórzu, na którem sterczały krzyże i pomniki cmentarne.

Potem była długa mowa kapłana, głośno wysławiająca cnoty zmarłéj pani, a potem zwłoki spuszczono do murowanego grobu. Przez całe trwanie tych obrządków, rozlegały się płaczliwe jęki i rozpaczne krzyki p. Rudolfowéj. Zresztą nikt nie płakał oprócz mojéj matki, któréj łzy niespostrzeżone przez nikogo spływały cicho i w ukryciu.

I więcéj niż kiedy w owéj chwili uroczystéj przekonać się można było, jak mało serc zyskała sobie dumna i wyniosła kobieta, w któréj ręku spoczywała jednak przemożna władza bogactwa. Gdzie było to imię jéj starożytne, dla chwały którego używała całéj mocy swéj żelaznéj woli, deptała jednych, podnosiła innych i odtrącała od siebie tych, którzy imieniowi temu ze czcią poddańczą służyć nie chcieli? Gdzie była ta tamilja, którą mocą bogactwa swego rządziła dowolnie, białą swą ręką o długich palcach regulując losy, powstrzymując i wzmagając serc uderzenia, otwierając lub zamykając róg obfitości, z którego na posłusznych sobie sypała złoto, a nieposłusznym dawała w udziale nieprzebłagane wyroki i niespodzianą niechęć? Familja ta otaczała ostatnie jéj schronienie, z twarzami zaledwie urzędowym okrytemi smutkiem, bez łzy, bez wzruszenia, szepcząc, uśmiechając się ukradkiem, a przedewszystkiem myśląc o testamencie.

Dla tego to testamentu familja nie odjechała zaraz po pogrzebie, i wielu najpoważniejszych sąsiadów zatrzymanych do dnia jutrzejszego zostalo.

Sprowadzono z W. prawnika, aby nazajutrz w przytomności wielu świadków otworzył testament i przeczytał ostatnią wolę téj, która leżąc tam na wzgórzu w murowanym grobie, nie miała już woli.

XXVI.

Około południa wielki bawialny salon napełniony był ludźmi; tuż przy oknie, bo w głębi salonu zaledwie słabe przedzierało się światło chmurnego dnia jesieni postawiono stół, a na nim hebanową srebrem inkrustowaną szkatułkę, tę samą na jaką tak uporczywie wskazywała babka moja w przed chwilę zgonu. Za stołem, plecami zwrócony do okna a twarzą do przytomnych, stał prawnik poważny człowiek z głową przyprószoną siwizną. Obok niego stało kilku mężczyzn najwięcéj poważnych świadków, a daléj na taburetach i kanapach siedzieli krewni dalsi i bliscy, sąsiedzi i znajomi z odległych stron przybyli. Pomiędzy tą mozajiką twarzy różnorodnych rysów i charakterów, uwagę moją zwracała najbardziéj jedna twarz męzka, żółta, wychudła, z oczami zakrytemi szafirowemi szkłami okularów. Był to Henryk S. Od czasu jakem go niewidziała zmienił się bardzo. Postarzał, włosy nad czołem wypadły mu prawie zupełnie, w wyrazie twarzy jego malował się pewien jakby przyrośnięty już do niéj niepokój. Zdawałoby się jakby przez długie dni i lata pozostawał był w tajemniczéj jakiejś trwodze; na czole nosił przykrą, głęboką zmarszczkę, a nerwowe drganie przebiegało od czasu do czasu jeden z jego policzków. Stał jednak wyprostowany, uśmiechał się wybladłemi usty do tych, którzy uśmiechali się do niego, i chwilami roztwierał i zamykał palce zwykłym sobie ruchem, ale teraz częściéj już były one nieruchome i tylko wraz z policzkiem drgały nerwowo.... Emilka siedziała obok mnie w ciemnym kątku salonu i oczy co chwilę zachodzące łzami trzymała wlepione w twarz brata.

— Nieprawdaż, szepnęła mi na ucho, że Henryk wygląda tak jakby się czegoś wciąż obawiał...

W téj chwili ten o którym mówiła, potoczył do koła szafirowemi szkłami i spotkał niemi moje spojrzenie. Szybko odwrócił szkła w inną stronę, ale policzek zadrgał mu kilka razy, raz po raz wybladłe usta wykrzywiły się niewyraźnym uśmiechem, ceglaste plamy wystąpiły w zapadłościach policzków, i przedłużając się, zbiegły się aż do głębi przykréj zmarszczki która rysowała czoło. Emilka mocniéj mi rękę ścisnęła.

— Patrz, szepnęła, można by rzec że widok twój przeraża go, i że w tej chwili nawpół tylko jest przytomnym.

W istocie drżącą ręką powiódł po czole, które jak nagle zarumieniło się, tak nagle zbladło. Przypomniałam sobie rozmowę jego z p. Rudolfem, której byłam obecną, owo bióro tajemnicze o dwóch rękach bronzowych trzymających świecznik sześcioramienny i groźne słowa jakie wymówił p. Rudolf, wychodząc wtedy z jego gabinetu.

Nie miałam czasu dłuższych czynić uwag i przypomnień, bo nagle cisza głęboka zaległa salon umilkły szepty, miłosierne panie przestały pocieszać nieutuloną z żalu panią Rudolfowę, poważni panowie przestali uśmiechać się do Henryka miljonera, złoty kluczyk donośnie dźwięknął w zamku hebanowéj szkatułki, i przez kilka sekund pieczęcie herbowne z głuchym łoskotem łamały się z kolei pod palcami prawnika.

I cicho było, bardzo cicho! Zdawało się że pod wysokim sufitem, na złotych swych i brylantowych piórach zawiesił się bożek bogactwa i pływał w powietrzu, upatrując sobie głowy na jaką spuścić się zamierzał. Ten dom starożytny i ogromny, te w nim aksamity, makaty i złocenia, te wokoło niego urocze doliny, borami pokryte wzgórza, pól żyzne łany, te na dnie szuflad ukryte pęki papierów, bardzo pięknemi zapisane cyframi, tę budowę murowaną która zdawało się skarbcem, a w któréj tajemiczem łonie srebro połyskiwało obok drogich kamieni i piętrzyły się stosy kosztownych odwiecznych sprzętów,—wszystkie te rzeczy razem noszące cudowną nazwę milijonów, bożek bogactwa trzymał na swych zaczarowanych skrzydłach, i tuż tuż za kilka minut, za kilka sekund, za sekundę, miał je wysypać pod stopy tego, czyje imię napisane było na tym wielkim arkuszu papieru, który zwolna wyjęty z uwolnionéj od herbowych pieczęci koperty, zaszeleścił i rozwinął się w ręku prawnika.

— W Imię Ojca i Syna i Ducha, zabrzmiał zwykłą wstępną formułą poważny i donośny głos u okna i po chwilce przestanku czytał daléj — treść testamentu.

Dokument to był długi, babka moja wyrażała w nim zasady które rządziły całem jéj życiem, i przekazywała je tym którzy według jéj woli odziedziczyć mieli ogromny majątek. Majątek ten rozdzielała na trzy równe części, z których każda wynosiła więcéj jak miljon. Pierwszą część, to jest Rodów z przyległościami i wszystkiemi dobrami ruchomemi i nieruchomemi w majętnościach tych się znajdującemi,zapisywała „cioteczněj swéj siostrzenicy Zofii Rudolfowéj X., z warunkiem, aby taż Zofja rozporządziła się dobrami temi na rzecz tego ze swych dzieci, które się jéj wyda najgodniejszem i najzdolniejszem do godnego dźwignięcia imienia i utrzymania honoru familji. Jeśliby zaś żadne z jéj dzieci nie wydało się jéj godne tego zaszczytu, miała prawo zostawić po sobie spadek któremukolwiek z dalszych członków familji, z tem zastrzeżeniem 1) aby dobra nie przeszły w ręce obcego rodu, 2) aby nie były na wiele głów rozdrobiane, ale skupiały się w jednéj ręce, 3) aby ten kto je otrzyma, miał zawsze na pierwszym względzie godność imienia, wzrost, nieskazitelną wielkość i honor familji."

Drugą część majątku, składającą się z połowy posiadanych przez nią kapitałów, babka moja przeznaczała „cioteczněj wnuczce swéj Rozalji X. z tem, aby zawarła małżeństwo mogące podnieść wielkość, świetność i honor familji: jeśliby zaś taż Rozalja małżeństwa takiego zawrzeć nie chciała, utraci prawo do przeznaczonéj sobie części spadku, która przejdzie w takim razie na rzecz tego z jéj rodzeństwa albo z członków dalszéj familji, który w jaknajbliższym czasie zawrze związki korzystne i zaszczytne dla rodu."

Trzecią część majątku swego, babka rozdzieliła pomiędzy sługi i domników „którzy długo i wiernie poświęcali usługi swe familji" oraz pomiędzy kościoły, z włożeniem na takowe obowiązku, aby corocznie w pewne dnie uroczyste, imię mojéj babki jako też imiona kilkunastu członków familji już zmarłych, wspominane były przy żałobnym obchodzie z wszelką opisaną w testamencie pompą i okazałością.

Następnie było jeszcze kilka drobnych legatów dla osób do dalszéj należących familji, wspomnienie o babce Ludgardzie którą nowa dziedziczka Rodowa „miała pielęgnować do śmierci ze wszelką przynależną jéj czcią i pieczołowitością," nakoniec babka moja wymienia sześciu najmożniejszych i najpoważniejszych swych krewnych, wkładając na nich obowiązek stróżów i wypełnicieli ostatniéj jéj woli.

O matce mojéj, o mnie i o Franusiu, najbliższéj nie było wzmianki.

Nakoniec głos czytającego testament prawnika umilkł. Wszystkie oczy zbiegły się na dwie głowy, na których spoczęły skrzydła złotego bożka. Były to naturalnie głowy Rudolfowéj i Rozalji. Dwie te kobiety przedstawiały w téj chwili wielką sprzeczność. Pierwsza siedziała w pokornéj postawie, z pochyloną głową, ze słodko uśmiechniętemi ustami i rumieńcem, jakby zdziwienia i zawstydzenia na twarzy, — druga stała obok niéj bardzo wyprostowana, blada ale śmiała, bez radości ani zdziwienia na twarzy, a tylko z dziwnym ogniem w czarnych oczach, z dziwniejszym jeszcze lekko szyderskim na ustach uśmiechem.

Spojrzałam na moją matkę, i zobaczyłam ją tak obojętną, spokojną, zimną i dumną, jakby nic a nic nie bolała ją tem, że złoty bożek stanowczo i na zawsze uleciał od niéj. Śród ciszy ogólnéj ozwał się przytłumiony, pełen skromności, pokory i słodyczy głos Rudolfowéj:

— Bóg widzi, mówiła splatając pobożnie ręce i okrągłe oczy podnosząc w górę, jakby nieba wzywała na świadka słów swoich,—Bóg widzi. że daleka byłam od pożądania bogactw najukochańszéj ciotki mojéj, któréj śmierci nigdy opłakiwać nie przestanę, (tu zaszlochała głośno) i że niespodziewałam się wcale, aby najukochańsza ciotka moja tak hojnie łaskami swemi obdarzyć mię chciała. Nie starałam się o to i nie pragnęłam tego, bo wiem że jedynem bogactwem, o jakie każdy chrześcianin starać się powinien, są cnoty i dobre uczynki, i że na Sądzie ostatecznym nie będę zapytaną o to com miała, ale o to com uczyniła! Powiedziałabym nawet, że nie zasłużyłam na te tak wielkie dobrodziejstwa najukochańszéj ciotki mojéj; doprawdy, powiedziałabym, że nie zasłużyłam na nie, gdybym w ostatnich jéj latach nie była jedyną jéj towarzyszką i przyjaciółką, gdybym z całą miłością jaką czułam dla niéj, nie pielęgnowała jéj dni ostatnich, gdybym nakoniec wtedy kiedy pewne osoby bliższe jéj związkami krwi ode mnie i tysiącem przez nią osypani dobrodziejstw, obraziły ją ciężko i weszły na drogę srodze uwłaczającą honorowi familji, gdybym mówię wtedy nie opuściła własnych dzieci moich i domu mego, aby stać się najwierniejszą sługą najukochańszéj ciotki mojéj, pocieszać ją w zgryzotach jakich na ten smutny widok doświadczała, i ochraniać ją od oszczerstw i intryg wymierzanych na nią przez te osoby bliższe jéj związkami krwi ode mnie, a drogami na które weszły uwłaczające srodze honorowi familji. Czuję dobrze, że były to z méj strony drobne, bardzo drobne zasługi; ale ponieważ najukochańszéj ciotce mojéj podobały się je uwzględnić i w tak hojny wynagrodzić sposób, nie mam prawa nie przyjąć jéj daru, z którego postaram się z całéj siły uczynić użytek, najgodniejszy z wolą najukochańszéj mojéj zmarłéj i chwałą Najwyższego Pana, który tę świętą i wielkiéj duszy niewiastę przyjął już zapewne na łono szczęśliwości wiekuistéj.

Wszystkie oczy tkwiły w twarzy mówiącéj, która po skończeniu słów swoich, przyłożyła chustkę do twarzy niewiadomo czy dla otarcia łez, czy dla ukrycia białych zębów z niezmożoną siłą wydobywających się na zewnątrz i nadających twarzy wyraz tryumfu i zjadliwéj radości, tak mocno sprzeczających się z pokorą postaci i żałośnym dźwiękiem głosu.

Obszerną książkę napisać by trzeba, chcąc szczegółowo określić wyrazy tych kilkudziesięciu twarzy, które z zazdrością, podejrzliwością, szyderstwem i zachwyceniem spoglądały na tę głowę pochyloną w pokorze i żalu, i przykrytą białym czepeczkiem, nad którym zdawały się powiewać skrzydła złotego bożka. Nikt jednak nie wymówił ani jednego słowa, i po skończeniu pokornego modlitewnym tonem wymówionego monologu Rudolfowéj, parę minut powszechne trwało milczenie. Przerwał je turkot kół na dziedzińcu, w połączeniu z odgłosem pocztowego dzwonka, a zaraz potem dały się słyszeć w sali jadalnéj śpieszne kroki kilku osób. Nikt przecież nie zwrócił uwagi na te objawy przybycia nowych gości, bo w tejże chwili Rozalja wystąpiła z za krzesła matki, na którem stała nieruchoma jak posąg, i z głową podniesioną, ze skrzyżowanemi na piersi rękami, postąpiła kilka kroków w stronę stołu przy którym stali prawnik i egzekutorowie testamentu.

Stanęła, błyszczącym wzrokiem powiodła wokoło i dźwięcznym donośnym głosem wymówiła:

— Panowie! babka moja na kilka chwil przed swym zgonem, pragnęła odmienić treść testamentu.

Rudolfowa porwała się na te słowa z krzesła i poskoczyła ku córce z takim gestem, jakby ją pochwycić i odtrącić chciała,—ale nagle powstrzymała się, stanęła, splotła ręce nabożnie, i westchnąwszy głośno głowę na pierś opuściła. Rozalja nie zdawała się wcale widzieć tego poruszenia swéj matki, i po chwilowym przestanku mówiła daléj:

— Wiem dobrze, iż przedśmiertne to żądanie mojéj babki, objawione znakami mnie tylko zrozumiałemi, nie może mieć żadnego znaczenia w obec sądu i prawa; wiem o tem dobrze, i dla tego nie będę powtarzać tu tego o czem wiem dobrze, bo słowa moje na nic by się nie przydały. Ale uznacie zapewne panowie, że jako współsukcesorka mojéj babki i mająca znaczną część jéj majątku o trzymać posiadam prawo przemówić kilka słów na rzecz tych którzy zostali pokrzywdzeni. Nieprawdaż panowie, że posiadam to prawo?

Wszyscy skłonili się w milczeniu, a pani Rudolfowa o krok bliżéj przystąpiła do córki, i z warg jéj zaciśniętych tym razem wydobyło się coś jakby syknięcie. Ale Rozalja wcale nie patrzyła na matkę, błyszczące oczy jéj na żadnéj wyłącznie nie spoczywały twarzy, i tkwiły w przestrzeni jak gdyby słowa swe zwracała do kogoś niewiadomego.

(d. c. n.)

KAMIENNE SERCE

POWIEŚĆ

PRZEZ

Golo-Raymunda

Z NIEMIECKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Tymczasem młoda hrabina postępowaniem swojem bynajmniéj nie czyniła wstydu dawniejszemu powołaniu. Codziennie wyprawiała nowe i niespodziewane sceny, które męża mającego najszczerszą wolę urządzić ciche życie domowe, coraz bardziéj z każdym dniem przekonywały, że nigdy nie pozna ani właściwego kierunku uczuć, ani życzeń swojéj małżonki. Nie mając ani śladu naturalności lub dobrego wychowania, albo nie kładła na usta halmulca, tak iż matka Pawła nieraz rumienić się musiała, albo karykaturowała do potworności ton lepszego towarzystwa. Rozmaite charaktery w których niegdyś występowała, chociaż niestety nigdy w nich niezjednała sobie oklasków, służyły jéj za jedyną wskazówkę w postępowaniu względem męża. Dziś zalotna, jutro naiwna, potem sentymentalna, zawsze była równie śmieszną i odpychającą, dla tego i służba nawet, nieraz zapewne byłaby jéj odmówiła szacunku, gdyby nie wzgląd na hrabiego i jego matkę. O dawnem jéj życiu i ciągłéj włóczędze na jaką była narażona, nikt nie mówił prócz niéj saméj; często opowiadała też o wieńcach i tryumfach jakie niby zbierała, chociaż nie występowała nigdy na żadnéj większéj scenie. Jéj ojciec, który bez dalszych korowodów osiadł w Amstetten, a konie, piwnicę, służbę i kassę zięcia uważał jak swoje, kształcił ją, o ile wspomnienia własnego wychowania i wiek córki na to pozwalały. Nieraz jednak uczuł, zwłaszcza gdy popatrzył na szwagrowę, że Ingeborga „nie pojęła“ roli znakomitéj damy. Nic to jednak nie pomagało. Ingeborga była przekonana o swojéj nieomylności, tem bardziéj gdy pani Georginia Steinlach, jedyna kobieta z którą miała styczność, upewniła ją że jest wzorem osoby wysokiego stanu.

Usiłowania staréj hrabiny, aby wywrzeć wpływ na Ingeborgę były zupełnie bezskuteczne. Nałogi jéj bowiem i nawyknienia nabyte w życiu wędrowniczem, zaniedbanie i nieład we wszystkiem, nie pozwalały jéj nigdy i w niczem stosować się do drugich. Ojciec na dobre zaczął żyć po swojemu. Hrabia postrzegł wkrótce, że teść żadnego wieczoru nie idzie trzeźwy do łóżka, a często nawet nim jeszcze udał się na spoczynek, rozogniona fantazja zdradzała stan jego nienaturalny. Chociaż w Amstetten bywało więcéj mężczyzn niż kobiet, życie teraźniejsze wydawało się mu zbyt cichem, niezadawalniało go, i wyglądał z utęsknieniem jakiéjś zmiany, jakiejś przerwy w téj nudnéj dla niego jednostajności.

Czy to za jego staraniem, czyli też Ingeborga sprawiła mu tę czułą niespodziankę, pewnego dnia skromny wózek najemny stanął na dziedzińcu zamkowym, a z niego wyskoczył jakiś jegomość, który bez ceremonji pytał o swego dawnego przyjaciela Wallmutha. Nie miał ze sobą ani rzeczy ani służby, na cudzych jednak służących krzyczał i hałasował, jakby miał przed sobą zbrodniarzy do osądzenia lub ułaskawienia. Dyrektor teatru powitał go hałaśliwie, z wielką radością, Ingeborga spazmatycznym płaczem.

Gdy hrabia nadszedł, i zdziwiony, oburzony poglądał to na żonę to na przybysza, dyrektor teatru objaśnił go jakimś rymowanym frazesem, że dawno się niewidzieli, płaczą więc ze smutku i radości.

— Jest to Lapiński, który w mojéj trupie grywał bohaterów, bardzo utalentowany i już sławny artysta, a zwracając się do gościa, dodał: Niech ci się zdaje przyjacielu, że jesteś u siebie. Walmuthowie byli zawsze protektorami sztuki, ja sam poświęciłem jéj połowę życia, jak wiesz. Zresztą nie jest tu tak źle; okolica bardzo ładna, wyśmienite polowanie, świeże, wiejskie powietrze, i piwnica — ah przyjacielu, zapoznam cię z nią jeszcze dziś wieczór.

Hrabia Paweł stał niemy; po raz pierwszy stracił przytomność, bo chociaż przewidywał, że coś podobnego może się kiedyś wydarzyć, nie obmyślił jeszcze jak sobie w tym razie postąpić. Skompromitować teścia albo żonę przed ludźmi, byłoby nieroztropnie. Dyrektorowi teatru można było imponować, ale drażnić go nie zdawało się właściwem. Gadatliwość teścia, który ze zdumiewającą szybkością przechodził z jednego przedmiotu do drugiego, była hrabiemu bardzo na rękę. Pozdrowił przybysza wyraźnie jako gościa swego teścia, i korzystał z téj pierwszéj sposobności, aby żonę swoję w cztery oczy jak najusilniéj upomnieć, że nawet cienia, nawet pozoru złego unikać powinna. Obrażona małżonka zakończyła to napomnienie wielką łez sceną Pan Lapinsky, chociaż hrabia obchodził się z nim zimno i prawie z lekceważeniem, rozgościł się wkrótce jak u siebie; jadł i pił, śpiewał i żartował z dziewczętami wiejskiemi, którym się bardzo podobał. W obcowaniu zaś ze swoją dawną koleżanką, nawet w obecności hrabiego nie zawsze pilnował granic, jakie tenże swojéj żonie jasno i wyraźnie zakreślił. Im bardziéj poufałą okazywała się dla niego Ingeborga, tem mąż jéj stawał się smutniejszym; ciężar który dobrowolnie wziął na swoje barki, aby matce ulżyć tę krótką drogę życia, którą jeszcze przebyć miała, był przecież za wielki. Unikał ludzi, którzy spoglądali na niego z politowaniem, zdumieniem, a często z szyderstwem, nie chciał odbierać jako jałmużnę dowodów życzliwości od tych, którzy dawniéj jego uprzejmość jako zaszczyt poczytywali. Nalegał nawet usilnie, aby matka wyjechała z domu.

— Pobyt tutaj jest dla ciebie niestosowny, moja matko: haniebne towarzystwo, haniebne życie otacza cię, mawiał często. Dla czegóż nie wyjeżdżasz? czemu nie chcesz mieszkać przy Feliksie, który tak jak ja kocha cię i szanuje, a daleko bardziéj niż ja może ci życie umilić i uprzyjemnić?

Ale pomimo próśb jego i nalegań hrabina została. Niewyczerpaną łagodnością i miłością usiłowała zmienić Ingeborgę i serce jéj uszlachetnić, dokładała wszelkich starań, aby w szczupłem kole zaszczepić towarzyskość, zaprowadzić przyzwoitość, ale w obec szorstkości i lekkomyślności, grubego materjalizmu i udanéj sentymentalności nowych mieszkańców Amstettenu, nic się jéj nie udawało.

Baron Wallmuth opowiadał przy zaręczynach, że pan Lapinsky, ex kucharz, wzbudził w Ingebordze miłość i sam to uczucie podzielał, ale chociażby nikt o tem nie słyszał, nie trudno było odgadnąć, że rzecz tak się miała w istocie. Lekkomyślność własnego ojca, który wiedząc o tem, pozwalał kochankom widywać się, a nawet ułatwiał schadzki, oburzała hrabiego do [najwyższego stopnia, wszystko to przechodziło już prawie jego siły. Jak to? więc nadaremnie poświęcił szczęście swoje i miłość Gertrudy?

Myśl ta dręczyła go we dnie i w nocy; zobaczywszy więc aktora, siedzącego w tak poufałéj postawie u nóg swojéj żony, poszedł za popędem uczciwéj dumy, i nietroszcząc się o dalsze skutki swego postępku, wskazał drzwi natrętnemu gościowi. Pan Lapinsky dostawszy na drogę sporą sumkę, bez namysłu wsiadł do powozu, który miał go odwieść do najbliższéj stacji kolei żelaznéj, —zdawał się być nawet zadowolonym tak prędko po smutku rozstania; pocieszył się nadzieją przepędzenia jeszcze jakiegoś czasu bez trosków.

Inaczéj jednak pojmował tę sprawę baron Wallmuth. Twarz jego tryskająca zawsze zadowoleniem, zachmurzyła się nagle. Wchodząc do pokoju zięcia rzekł:

— Czy wiesz *mon chèr*, że mię dzisiaj obraziłeś? Wprawdzie to po raz pierwszy, ale proszę bardzo, aby takie sceny jakie z Lapinskim nigdy się nie powtórzyły, i żądam aby goście moi byli traktowani z wszelką oględnością.

— Twoi goście, stryju? rzekł hrabia, dając folgę długo tłumionym uczuciom, ale stryj zapominasz, że sam jesteś gościem w Amstetten. Lecz prawda, masz słuszność stryju, sceny takie nie powinny się powtarzać, powiedz że to Ingebordze, i jako jéj ojciec czuwaj nad tem, abym ją nie widział w sytuacji tak niestosownéj dla hrabiny Amstetten.

— Gościem? podchwycił baron, ja gościem, czy chcesz abyśmy role zmienili?

— Dobrze stryju, odpowiedział hrabia, moja jest mi aż nadto uciążliwą. Uczyniłem dla nazwiska Amstetten co tylko było w ludzkiéj mocy, i uczyniłem to dobrowolnie, z rozwagą, a nie w skutek twoich pogróżek stryju—nie sądź więc, że postrachem zdołasz co na mnie wymódz lub wodzić mię na pasku. Otóż powiadam ci stryju, niech ten aktor nigdy mi się tutaj nie pokazuje, i proszę aby Ingeborga nigdy go nie widziała.

— A jeżeli nie zechcę być posłuszną życzeniom pana? zapytała nagle Ingeborga, stając za plecami ojca, aby powiedzieć mężowi to wszysto czego pierwéj w skutek zemdlenia nie mogła mu powiedzieć.

— Rozwiedziemy się, odrzekł hrabia stanowczo: jeżeli nie zdołam uchronić mego nazwiska od plamy, wszystko mi jedno zkąd ta plama padnie.

— Nie tak prędko, mój przyjacielu, rzekł baron Wallmuth, Ingeborga nic przytem nie straci.

— Zobaczymy, odpowiedział z przyciskiem i wyszedł z pokoju.

— Byłożby to nieszczęście? zapytała ojca Ingeborga, czyż teraz, mając zapewnioną przyszłość, nie mogłabym zrobić jeszcze raz świetnéj partji?

Dyrekter teatru spojrzał z politowaniem na zwiędłą postać córki.

— Jeżeli mam być szczerym Ingeborgo, i jeżeli to co powiem nie pobudzi cię do spazmów, nie sądzę abyś mogła zrobić jeszcze partję, bo zważ tylko, że ci się skończyło już trzydzieści ośm lat. Bądź co bądź, sądzę, że lepszy wróbel w ręce, niż ten co na dachu, jak mówi przysłowie.

Ingeborga stała chwilę zamyślona, dumając o tych swoich trzydziestu i ośmiu latach.

— Cóż postanowiłaś Ingeborgo? zapytał baron po chwili. Twoja wola rozstrzyga, bo moja przyszłość jest na każden wypadek zabezpieczona.

— Zostanę hrabiną Amstetten, odpowiedziała, nie tak to wreszcie trudno *unikać pozoru.*

V.

Smutno i jeszcze smutniéj jak zwykle wyglądał pokój pani Sybilli: było to bowiem w październiku, cała okolica melancholijny przybrała wyraz, a ołowiane obłoki wylewały z monotonnym szumem deszcz

nieustanny. Staruszka siędziała przy kołowrotku i przędła. Smutnym jéj myślom towarzyszył jednostajny turkot kołowrotka, zmięszany z szumem deszczu. W owéj strasznéj chwili próby, gdy zbawienna ciemność nocy otoczyła rozum pani Sybilli, gdy jéj oczy płaczem znużone, z trwogą odwracały się od światła, a lekarz zalecał jéj koniecznie zatrudnienie, kołowrotek stał się jéj wiernym towarzyszem i pozostał nadal najulubieńszą jéj rozrywką. Nie zatrudniał ani uwagi, ani myśli, mogły biedz daleko w wesołą, pełną nadziei przeszłość, rozważać smutną teraźniejszość, tęsknić za spokojem, marzyć o wypoczynku i przebaczeniu — koło warczało jednostajnie i nie przeszkadzało jéj wcale. I dziś, chociaż Gertruda siedziała przy oknie i szyła, nie było słychać innego głosu w pokoju, ani ona, ani pani Sybilla nie siliły się na zawiązanie rozmowy. Gdy od czasu do czasu wydarło się westchnienie z piersi Gertrudy, gdy jéj ręce jakby bezsilne na łono opadły, gdy się zamyśliła i zamglone oczy utkwiła w przestrzeni, staruszka spoglądała na nią jakby z surowym wyrzutem, ale nie zdobyła się na słowo współczucia aby zasmuconą pokrzepić.

Długie milczenie przerwał odgłos niezwykły w tym domu. Ktoś zapukał do drzwi. Gertruda omal nie krzyknęła z przestrachu na widok wchodzącego gościa. Był nim pan Ferdynand Steinlach, ale tak blady, tak zmięszany, że zaprawdę można się go było przestraszyć.

— Ciotko, rzekł westchnąwszy głęboko za zbliżeniem się do staruszki, która wyprostowała się tylko na krześle, nie ruszając się z miejsca: bieda mię tutaj przygnała, gorzka bieda, czy mogę prosić o chwilę cierpliwości?

— Nie pochlebiasz pan przynajmniéj, odparła cierpko, nie ukrywasz zamiaru, będę więc słuchać.

— Powinienbym się może usprawiedliwić, ciotko, jak się tu przyjść ośmieliłem, rzekł z goryczą, ale mniemam że dla ojca i męża nie ma większego usprawiedliwienia nad biedę.

Postrzegłszy, że Gertruda chce się oddalić, zatrzymał ją prawie z trwogą.

— Zostań pani, wiem że masz dobre i szlachetne serce, a ja przychodzę prosić. Obecność twoja przyniesie mi pociechę, a mam nadzieję że zechcesz i wstawić się za mną. Ciotko! zagraża mi ruina, jeżeli kto nie poda mi ręki pomocnéj, trudno mi się będzie utrzymać. Ale téj pomocy znikąd spodziewać się nie mogę, jeżeli mi tu odmówioną zostanie. Ach ciotko, nie odwracaj się, ten raz tylko zlituj się nad moją żoną, nad moją biedną Malwiną. Dwadzieścia tysięcy talarów mogłyby mię uratować, a kapitał ten nie będzie wcale narażony na niebezpieczeństwo; na procenta od niego niepotrzebuję zarabiać, z samych bowiem oszczędności mogę je opłacić.

— Jest w tem tylko dowód, że byłeś pan marnotrawcą, odpowiedziała szorstko stara. Jestem tylko kobietą, ale ze mnie lepszy kupiec niż z pana.

— Ciotko, prosił właściel fabryki, nie teraz czas karcić mię, zresztą przyznaję się do winy, chociaż nie tylko lekkomyślność i marnotrawstwo są przyczyną mego nieszczęścia, lecz także nieszczęśliwe spekulacje z bawełną i upadek jednego z wielkich domów południowéj Ameryki, który przed sześciu miesiącami wziął na siebie wielką dostawę. Ryszard mógłby to potwierdzić, gdyby tu był, ale nie wiem kiedy powróci, czekać zaś na niego nie mogę, i dla tego sam mówię to wszystko. I Ryszard mocno jest zakłopotany tem wszystkiem—sam nie wiem jak się to skończy, niepokój i troska przygniata mię — ciotko, przynajmniéj ten pierwszy i ostatni raz niech prośba moja nie będzie bezskuteczną.

Staruszka podniosła głowę w górę i chwilę patrzyła na niego zimno i obojętnie.

— Znalazłabym może środki do tego, ale nie mam ochoty, odpowiedziała. To co posiadam było przeznaczone dla moich dzieci, byłoby więc świętokradztwem oddać to marnotrawcy. Pogardzam lekkomyślnością, płaszczeniem się i zbytkami, które podkopały dobrobyt tego domu, nie chcę wrzucić moje mienie do beczki bez dna, i strwonić tym sposobem to co mi Bóg dał.

— Niechcesz więc, ciotko? zapytał z rozpaczą właściciel fabryki, a jednak mogłabyś. Niech ci Bóg przebaczy! chociaż ty nie znasz przebaczenia i surowszą jesteś od Niego.

— Czyż mnie Bóg nie nawiedził? rzekła ponuro, czyż mało jeszcze nacierpiałam się za moje grzechy?

— O pani Steinlach, prosiła Gertruda ze łzami w oczach, pani nie wiesz jaką pociechę przynosi dobry uczynek, daj się ubłagać a i tobie się ulży.

Stara cofnęła ręką niechętnie.

— Miłość ich, rzekła wskazując ku mieszkaniu Steinlachów, nie uszczęśliwi mię, ani też twoja litość dla nich. Zostawcie mi moje cierpienia, a ja wam zostawiam wasze głupstwa. Bóg błogosławi tylko sprawiedliwym, niesprawiedliwi ostać się nie mogą.

Właściciel fabryki wstrząsnął smutnie głową.

— Wiecznie to samo, rzekł z cicha, zwracając się ku Gertrudzie: dla mnie nie ma nadziei.

Pani Sybilla wzięła się napowrót do kądzieli, nie odpowiedziawszy ani słowa. Wśród głębokiéj ciszy słychać było tylko turkot kołowrotka i szum deszczu.

— Czy żona pana wie o tem nieszczęściu? zapytała Gertruda, ze współczuciem.

— Tylko w połowie, odpowiedział smutno, to kobieta, i jak pani wiesz, kobieta delikatna, trzeba ją powoli przygotować. A zresztą, dodał tonem dawnéj lekkomyślności, może też jeszcze Ryszard przywiezie jakie pomyślniejsze wiadomości. Teraz odjeżdżam do Hamburga, wexli na Amerykę południową nie wypłacają, chcę się przekonać czy ten okropny cios nie da się jeszcze odwrócić. Bądź co bądź, nie chcę aby Georginia wiedząca tylko o znacznych stratach, które wymagać będą zmiany w trybie naszego życia, miała dowiedzieć się o całéj okropności naszego nieszczęścia, dopóki jeszcze jest jaka nadzieja i dopóki dla pocieszania jéj nie powrócę.

— Masz pan więc jeszcze jakąś nadzieję, jaki punkt oparcia? zapytała Gertruda.

— Nie, odpowiedział znowu rozpaczliwie, liczę tylko na pomoc Boską, napowrót Ryszarda, lub na jakieś nadzwyczajne, niespodziewane zdarzenie.

Na bladych wargach pani Sybilli igrał pogardliwy uśmiech.

— Mazgaj! bąknęła z gniewem, przesuwając coraz prędzéj nitkę między palcami i odwracając się dla uniknienia proszących spojrzeń krewnego.

Właściciel fabryki widząc, że bezskutecznie się upokarza, zabrał się do wyjścia.

— Ciotko, zapytał raz jeszcze, czy doprawdy nie mogę mieć nadziei?

— Człowiek nie wstrzyma gniewu Boskiego, odpowiedziała; nie mam ani chęci, ani prawa do niesienia wam pomocy.

Chwila minęła jak się drzwi za panem Steinlach zamknęły. Obie kobiety milczały, wreszcie Gertruda westchnęła:

— Biedny Ryszard!

Wzmianka o Ryszardzie zelektryzowała panią Sybillę.

— Cóż mu takiego? zapytała żywo.

— Ach pani, czyż go nie zaboli serce, gdy się dowie o niechybnym upadku fabryki?

— On na tem nie straci, odpowiedziała stara krótko.

Gertruda uśmiechnęła się smutno:

— On nie, ale ci którzy mu są najdrożsi w świecie, rzekła, a nieszczęście ukochanych osób jeszcze bardziéj dotyka niż własne.

— Nie potrzebował być tak samotnym i znać tylko cudze cierpienie i cudze szczęście, odpowiedziała pani Sybilla drżącym głosem, mógł znaleść środki pomożenia tym, których wybrał sobie za przyjaciół. Przykro to dziękować kobiecie staréj, którą nieszczęście uczyniło zgryźliwą, która składając swoje dary, nie umie uśmiechać się słodko jak ci którym szczęście sprzyja. Dla tego też nie można, aby te dary dostały się mu z mojéj ręki, lecz kobieta młoda, piękna, szczęśliwa narzeczona powinnaby go obsypać bogactwem. Dla czegóż i to odrzucił?

Gertruda utkwiła w staruszce jasny swój i pewny wzrok.

— Miłość nie da się wymusić, pani Steinlach rzekła, i szczęście narzucone nie jest szczęściem. Nie przynosi obdarzającemu błogosławieństwa, ani dającemu radości.

— A cóż jedna wdzięczność? zapytała pani Sybilla z szyderczą szorstkością, przyczem jednak można było dostrzedz, że ciekawą była jakie jest zdanie Gertrudy w tym względzie.

— Kto spełnia życzenia drugich, nie czekając aż będzie o to proszonym, lecz z własnego popędu, kto się w tym względzie własnemi nie powoduje widokami, może być pewnym wdzięczności. Pani się żalisz, że Ryszard pogardza szczęściem, którebyś mu dać mogła, a nie pomyślisz, że nie uszczęśliwisz go tem, co mu dajesz. I rozmyślając jakby pozyskać jego wdzięczność i jakimby sposobem sprawić mu radość, opuszczasz pani najpiękniejszą sposobność. Wyobraź sobie pani jego zdumienie, jego szczęście jego wdzięczny uśmiech, gdy wróci do domu i dowie się, że ktoś z czułością odgadł jego życzenia i spełnił je, nim zostały wypowiedziane, gdy postrzeże, iż ta która to uczyniła, nie żąda za to wdzięczności, i że powodowało nią jedynie tylko życzenie sprawienia mu prawdziwéj radości. Niech pani to sobie wyobrazi, pani Steinlach, a będziesz miała odpowiedź, co jedna wdzięczność.

Staruszka nie odrzekła ani słowa, znowu tak obojętnie patrzyła na swój kołowrotek, jak gdyby wcale nie słyszała ostatnich słów Gertrudy z zapałem wyrzeczonych. W chwilę potem potoczył się powóz koło okna pani Sybilli, położonego nad bramą prowadzącą do kantoru pana Steinlach. Chociaż deszcz lał strumieniem, wstała i otworzywszy ostrożnie jedno skrzydło okna, wychyliła głowę. Służący wyniósł torbę podróżną, a wkrótce potem oboje państwo Steinlachowie ukazali się w otwartych drzwiach. Pani Sybilla patrząc z góry, widziała tylko głowę krewnéj, ale nie mogła dotrzedz jéj twarzy. Natomiast ujrzała w jéj ręku papier złożony, który zapewne dano jéj w kantorze, i słyszała wyraźnie słowa właściciela fabryki:

— A więc nie zapomnijże Georginio i zrób mi to zaraz: trwoga mię przejmuje gdy pomyślę, jak mogłem tego zaniedbać dotąd. Nie obarczałbym cię, gdyby nie to że nie mogę czekać napowrót komisantów...

—Bądź spokojny, mój Ferdynandzie, to drobnost-

ka odrzekła pani Georginia. Jedź szczęśliwie, a wracaj prędko, aby ci się wszystko najlepiéj powiodło.

— A jeżeli nie? rzekł tonem, który i żona i podsłuchająca w oknie pani Sybilla zrozumiała.

— Ach Ferdynandzie, odrzekła niecierpliwie, któż słyszał tak się dręczyć i przypuszczać niepodobieństwa.

Pan Steinlach w milczeniu uściskał żonę i wsiadł do pojazdu, a pani Georginia prędko schroniła się przed deszczem do pokoju. Gdy powóz ruszył, pani Sybilla zamknęła okno, obtarła chustką siwe włosy od deszczu zwilżone i powolnym jednostajnym krokiem przechadzała się po obszernéj komnacie. Gertruda ścigała ją oczyma ze zdziwieniem i niespokojnością. Sybilla widocznie namyślała się nad czemś, —coś rozważała. Gertruda wiedziała, że nie było to zwyczajem staruszki namyślać się długo, ile razy mówiła lub co czyniła, były to zawsze nagłe niemniéj przeto jednak silne objawy jéj woli, która nie ulegała żadnéj rozwadze, żadnemu zastanowianiu. Dzisiaj staczała widocznie walkę, bo chodząc w zamyśleniu, to stawała nagle to pocierała czoło. Widziała wprawdzie własnemi oczyma pana Steinlach odjeżdżającego, ale telegraf który mu zwiastował nieszczęście, mógł także przynieść pomyślne wiadomości. Gertruda nie ośmieliła się pytać o nic, bojąc się by pytanie nie zamieniło powstających może w kamiennem jéj sercu dobrych postanowień, w gorycz i zatwardziałość egoistyczną. Nie rzekła słowa i wtedy, gdy w dwie godziny potem staruszka kazała podać sobie szal i zeszła do dolnych pomieszkań.

Duch dobry rzeczywiście przytłumił na krótko w pani Sybilli gorzkie uczucia nienawiści i lekceważenia, które czyniły ją obojętną na cudze nieszczęścia. Chciała pocieszyć, ale być zarazem pocieszoną, chciała ujrzeć przynajmniéj raz na twarzy Ryszarda ów słodki uśmiech wdzięczności, o którym mówiła Gertruda. Zwolna szła po wspaniałych schodach nawy środkowéj: wiele lat minęło, jak tu jéj noga nie postała. Tutaj wstrzymało ją osobliwsze, wstrętne uczucie, ale i to pokonała. W sieni było zatrudnionych wielu służących, wynoszono i przestawiano meble, czyszczono je z prochu, zdejmowano pokrowce, srebra lśniące poczyszczane wynoszono na wyższe piętro, krzewy i kwiaty w doniczkach, których cudne barwy zdawały się szydzić z bladego nieba jesiennego, czekały jeszcze na swoje przeznaczenia. Sybilla oglądała się zdumiona, drobnostkowe te zajęcia gospodarskie nie zgadzały się z kłopotami finansowemi o których myślała,— chciała więc właśnie zapytać jednego z służących o przyczynę tych porządków, gdy w tem sama pani domu ukazała się na schodach. Sybilla była tak rzadkiem w tem miejscu zjawiskiem, że właścicielka fabryki ujrzawszy staruszkę, nie mogła wstrzymać się od wykrzyku zdziwienia czy przestrachu. Staruszka nie obraziła się tem, przeciwnie zbliżyła się do niéj i rzekła dość uprzejmie:

— Chciałam z tobą pomówić, Georginio, a chociaż widzę, że jesteś bardzo zatrudniona...

— Ja? przerwała pani Georginia zdziwiona i prawie urażona, przepraszam cię kochana ciociu, to moi ludzie, ja nie. Przecież ciocia nie myśli, że sama zajmuję się opyleniem pokoi i że sobie niszczę ręce bez potrzeby. Niech ciocia będzie spokojna, nieuniknione te nieprzyjemności domowe nie będą nam przeszkadzać; moja bowiem obecność i moje wyłączne rozkazy, będą dopiero jutro potrzebne, gdy przyjdzie dokończyć ozdób.

Obie kobiety wchodziły właśnie do pokoju pani Georginii, gdy staruszka wstrzymała się przy ostatnich słowach tamtéj.

— Dokończyć ozdób? zapytała zmieszana, jakichże to ozdób, jeżeli wolno zapytać?

— W salonie i pobocznych pokojach. Malwina kończy jutro rok siedemnasty, dajemy więc bal na uczczenie jéj urodzin, odpowiedziała pani Georginia.

— Dajecie bal? krzyknęła staruszka prawie przerażona. I ty będziesz tańczyć! gdy się nędza przybliża; w twojéj głowie głupstwa i próżność podczas gdy mąż twój odjechał prawie w rozpaczy...

— Kochana ciotko, rzekła Georginia w żywem poruszeniu, daruj że zapatruję się na rzeczy własnemi oczyma. Ciocia już tak dawno żyłaś z dala od świata, iż nie dziw, że zapomniałaś jego zwyczajów i wymagań,—ale kto jak ja, żyje ciągle w stosunkach, musi stosować się do przepisów towarzyskich. Goście byli już zaproszeni, wszystkie przygotowania poczynione; niepowodzenie w interesach nie może być słuszną przyczyną odłożenia balu.

Jakby za dotknięciem laski czarodziejskiéj uleciały tkliwe wzruszenia pani Sybilli, nawet wyrazy wdzięczności z ust Ryszarda straciły w jéj wyobraźni słodki dźwięk, bo w téj chwili zdawały się jéj za drogo okupionemi.

— Wybaczże mi Georginio, rzekła zimno i szydersko, masz słuszność, jestem stara dziwaczka, i nie mam wyobrażenia o obowiązkach, które bierze na siebie, kto chce żyć w świecie. Zdawało mi się, że wasze niepowodzenia w interesach więcéj znaczą niż obowiązki towarzyskie, i byłam tak nieroztropną że chciałam wam dopomódz; teraz widzę, że tego nie potrzeba. Kto swobodną myślą daje świetny i kosztowny bal, nie potrzebuje pomocy.

— Ach Boże, ciociu nie zrozumiałaś mię! zawołała właścicielka fabryki mocno zmięszana, ponieważ ani spodziewać się mogła, aby zmiękło kiedy kamienne serce téj staréj kobiety. Bal nie będzie ani kosztowny ani świetny, i ja zaprawdą nie czuję się swobodną, a zresztą sama roztropność nakazuje ukryć nasze kłopoty, które przecież są przemijające...

Ale Sybilla nie dała się zatrzymać i poszła ku drzwiom, nie słuchając co jeszcze mówiła bratanka. Zresztą w téj właśnie chwili wszedł do pokoju służący i zapowiedział przybycie młodéj hrabiny Amstetten, którą zawsze jeszcze pomimo trzydziestu ośmiu lat tak nazywano. Pani Sybilla zniknęła w zamięszaniu, nim właścicielka fabryki mogła powziąć postanowienie, lub nawet pomyśleć jakby rozgniewaną przejednać. W tem Ingeborga ukazała się w sieni, a powitanie zabrało Georginii tyle czasu, że nie podobna jéj było zajmować się dłużéj panią Sybillą, którą wreszcie jako mieszkającą pod tym samym dachem nie trudno odszukać.

Ingeborga witała Georginię bez tego tonu pańskiego jaki zwykle przybierała, przeciwnie okazywała jakiś nieudany wcale niepokój, a ztąd wynikła naturalność, która była jéj bardziéj do twarzy, niż owo udawanie, które zresztą chyba tylko Georginii mogło się podobać.

— Moja droga przyjaciołko — bo jesteś mi przyjaciołką, chociaż przesądy i różnica stanu tak bardzo oddzielają nas od siebie,—rzekła hrabina w żywem poruszeniu, chciałabym wylać moje przepełnione serce przed wierną i umiejącą dochować tajemnicy przyjaciołką. Chciałabym znaleść tkliwą, szlachetną duszę, nieskrępowaną przesądami, i zasięgnąć rady, pomocy —przychodzę więc do ciebie.

— Łaskawa pani hrabino, wyjąkała Geor inia, odurzona takiem wyszczególnieniem, to prawdziwa niespodzianka i zaszczyt; pani hrabina dajesz mi niespodziewanie to na co dopiero chciałam zasłużyć. Dom mój i osoba moja są na rozkazy pani,—wiesz pani iż mam sobie za szczęście, gdy mogę składać hołdy zarazem artystce i osobie tak wysoko położonéj.

— Poczciwa! zawołała Ingeborga wzruszona, zaprawdę jest jeszcze na świecie przywiązanie i poświęcenie, jest przyjaźń,—o Georginio jest jeszcze i miłość!

Potem wstępnem wyznaniu, trzydziestoośmioletnia piękność wstydliwie zasłoniła sobie twarz chustką od nosa, poczem zapytała nagle.

— Czy jesteś szczęśliwą Georginio?

Pani Steinlach ujrzała się poniekąd w kłopocie, bo niewiedziała co odpowiedzieć. Kochała ona serdecznie swojego męża, czuła się dumna i szczęśliwa, mając tak piękne dziecko, ale nie wiedziała czy to nie sprzeciwia się dobremu tonowi, jeżeli kto okazuje się zadowolonym ze swoich stosunków.

— Ach, pani hrabino, czyż jest kto coby czegoś, więcéj nie pragnął niż ma, odpowiedziała wymijająco.

— O Georginio, nieszczęśliwa istoto, i ty jesteś ofiarą? O! licz, licz zawsze na mnie, zawołała Ingeborga, biorąc w objęcie zdumioną kobietę. Ale teraz gdy wiem że mię zrozumiesz, wysłuchaj i dopomóż. Wiesz, że jako ofiara naszych względów familijnych, musiałem wziąść rozbrat ze sztuką, która na skrzydłach niebiańskich wzniosła mię wysoko po nad poziom tego życia. Tam na wyżynach sztuki, moja ty poczciwa, gdzie życzenia i żądze zwyczajne nie mogą nam towarzyszéć, gdzie wolne od wszelkich więzów spotykają się geniusze, zawarłam związek, który nie podlega ani ludzkiemu ani kościelnemu przymusowi, który sam wiąże swoją czystością i wzniosłością. W ostatnich latach mego artystycznego zawodu miałam towarzyszem pana Lapińskiego, szlachetnego, pełnego talentów męża, który sam przejęty zapałem dla swego wzniosłego powołania, zapalał i drugich. Byliśmy zaangażowani oboje na téj saméj scenie, on grywał bohaterów, ja byłam pierwszą amantką, a gdy z początku tylko z konieczności prawie codzień schodziliśmy się razem, wkrótce zbliżyła nas ku sobie czysta artystyczna miłość. Jedno znalazło w drugiem swój ideał, uzupełnienie i dokończenie swego *ja*. On był moim nauczycielem, moim przyjacielem, a ja Georginio, sądzę że wiele znaczyłam u niego, dziś jeszcze nazywa mię swoim dobrym aniołem. Miłość nasza, wzniosła jak sztuka która nas zbliżyła, była równie czystą i obcą wszelkiemu samolubstwu. Nie żądaliśmy, nie pragnęliśmy niczego, żyliśmy tylko teraźniejszością.

Ale wysokie urodzenie, moja droga przyjaciołko, dobro które ty tak wysoko cenisz, wkłada także na nas wielkie obowiązki. Moja droga matka umarła wcześnie, nie zostawiwszy qiednemu ojcu syna, któryby mógł być spadkobiercą jego nazwiska, miał tylko mnie. Ja byłam ostatnim odziomkiem starożytnego, sławnego rodu: czyż mogłam kłaść na wagę moją sztukę i moją miłość, gdzie trzeba było mieć wzgląd na rodzinę? Wiedziałam com była winna nazwiskowi Wallmuth, stary ojciec mógł żądać ode mnie ofiary serca, ale ja nie mogłam żądać aby on poświęcił dla mnie swoją dumę. Stałam się ofiarą, oddałam rękę Amstettenowi.

— Co za szlachetne serce, zawołała Georginia w szczerem podziwieniu, mąż i cała rodzina odwdzięczą kiedyś pani hrabinie to poświęcenie!

(d. c. n.)

ZACISZE

POWIEŚĆ S. J. TURGENIEWA

tłomaczona z rossyjskiego.

(Dalszy ciąg.)

Opowiemy teraz co zaszło przed niespodziewanem widzeniem się nocnem Wieretjewa z Astachowem. W domu Gabriela Stepanicza na dole, zajmował kawalerskie mieszkanie daleki jego krewny. W czasie balów, młodzież w przerwach pomiędzy tańcami zachodziła tam dla wypalenia fajki wagsztafu; po kolacji zaś zbierali się dla przyjacielskiéj pohulanki. W tę noc zeszło się u niego wiele gości: pomiędzy niemi byli także Wieretjef i Stelczyński, a i Jan Ilicz *Zgodna dusza* przyciągnął za drugiemi. Przyrządzili żżonkę. (1) Chociaż Jan Ilicz przyrzekł Włodzimierzowi Astachowi, nie mówić nikomu o mającym nastąpić pojedynku, jednak kiedy go Wieretjef przypadkowo spytał, o czem on rozmawiał z tym papinkiem, gdyż inaczej Astachowa nigdy nie nazywał, *Zgodna dusza* nie wytrzymał i powtórzył całą swą rozmowę od słowa do słowa.

Wieretjef rozśmiał się a potem zamyślił.

— Lecz z kim on strzelać się będzie? zapytał.

— A tego to już nie mogę powiedzieć, odrzekł Jan Ilicz.

— Przynajmniej z kim on rozmawiał?

— Z różnemi osobami.... z Jegorem Kapitoniczem. Czy to czasem nie z nim będzie miał pojedynek?

Wieretjef usunął się od Jana Ilicza.

Jak powiedzieliśmy przygotowano żżonkę, zaczęli pić. Wieretjef siedział na pierwszem miejscu: wesoły i hulaszczy, przewodniczył zwykle na zebraniach młodzieży. Zrzucił surdut i krawat. Proszono go żeby śpiewał, wziął gitarę i zaśpiewał kilka pieśni. Głowy powoli rogrzały się, młodzież zaczęła wznosić toasty. Stelczyński nagle wskoczył na stół, wysoko nad głowę wzniósł kieliszek i zawołał głośno:

— Za zdrowie!..... już ja wiem czyje dodał pośpiesznie, wypił, rozbił kieliszek o podłogę i zawołał: — niech jutro tak zginie mój wróg!

Wieretjef, który dawno już miał go na uwadze, podniósł szybko głowę...

— Stelczyński! odezwał się: — naprzód zejdź ze stołu: to nieprzyzwoicie, a powtóre, chodź no tutaj, mam ci coś powiedzieć.

Oba odeszli na stronę.

— Słuchajno bracie, ja wiem, ty jutro masz się pojedynkować z tym dżentelmenem z Petersburga.

Stelczyński zadrgnął.

— Co? kto tobie powiedział?

— Już ja tobie powiadam. Wiem także o kogo się pojedynkujesz.

— Czy tak? radbym się i ja dowiedział.

— Ach, na co to wykręty! Rozumie się, o moją siostrę.

No, no, nie udawaj zdziwionego. Nie wiem co tam zaszło między wami,ale to pewna że macie się strzelać. Dosyć już bracie, mówił daléj Wieretjef: —na co to udawać? przecież wiem że od dawna jéj nadskakujesz.

— Może być, lecz cóż to dowodzi....

— Proszę cię przestań. Lepiéj posłuchaj co ci teraz powiem.

Ja na ten pojedynek pod żadnym pozorem nie zezwolę. Rozumiesz mnie? cała ta niedorzeczność spadnie na moją siostrę. Wybacz! póki żyję... tego nie będzie. My obydwa z tobą przepadniem, to nasza koléj, ale ona powinna żyć długo, żyć szczęśliwą. Tak, przysięgam, dodał z niezwykłym zapałem; — wszystkich wydam, nawet tych, którzy byliby gotowi poświęcić się dla mnie, a nie dozwolę, aby ktokolwiek dotknął się włosa jéj głowy.

Stelczyński roześmiał się z przymusem.

— Tyś pijany, mój drogi i bredzisz... nic więcéj.

— A ty może nie? Lecz czy ja trzeźwy, czy nie, to zupełnie wszystko jedno. Ja mówię bez żartów. Ty nie będziesz się strzelał z tym jegomością za to ja ręczę. I zkąd ci przyszła ochota wszczynać z nim spory? zazdrość czy co. Prawdę mówią, że ludzie zakochani to głupi! z tem wszystkiem z pojedynku tego nic nie będzie.

— Hm! chciałbym widzieć jak ty mi przeszkodzisz?

— A oto tak, że jeżeli natychmiast nie dasz mi słowa że odstępujesz od pojedynku, to ja sam z tobą strzelać się będę.

— Czy tak?

— Nie powątpiewaj o tem, mój drogi. Zelżę cię bratku tu zaraz przy wszystkich w sposób najbardziéj oryginalny.... Sądzę że ci to nie będzie przyjemnem z wielu względów, co?

Stelczyński uniósł się, mówił że to *intimidacja*, że nikomu nie pozwoli mieszać się do jego spraw, że nie będzie na nic zważał.... skończył jednak tem, że się upokorzył i wyrzekł wszelkich zamachów na życie Włodzimierza Astachowa. Wieretjef go uściskał, i nie upłynęło pół godziny a już pili z sobą razem po raz dziesiąty trzymając się za ręce. Młodzieniec przewodniczący tańcom pił także z nimi, i nie odstąpił aż zasnął i legł na wznak w stanie zupełnéj bezprzytomności. Wyraz jego bladej i drobnéj twarzy był zarazem śmieszny i godny litości. Boże! coby też powiedziały eleganckie panie, jego znajome, gdyby ujrzały go w takiem poniżeniu!

Jan Ilicz téj nocy także się odznaczył. Naprzód zadziwił gości zaśpiewawszy niespodzianie: ,,Niegdyś żył we wsi baron"

— Łyszczak! łyszczak zaśpiewał! zawołano zewsząd, zkąd się wzięło że łyszczak śpiewa w nocy!

— Alboż to ja tylko jednę piosnkę umiem, odrzekł rozgrzany Jan Ilicz: umiem ja i inne.

— No, no, pakaż nam swą sztukę.

Jan Jlicz namyślił się i nagle zaczął basem:,,krambambuli ojcowską puściznę" lecz tak niezdarnie i dziwnie, że ogólny wybuch śmiechu natychmiast zagłuszył śpiew jego i musiał zamilknąć,

Kiedy wszyscy rozeszli się, Wieretjef udał się do Astachowa i pomiędzy nimi miała miejsce krótka, wspomniona już przez nas rozmowa.

Nazajutrz Włodzimierz Astachof wyjechał bardzo wcześnie do siebie do Sasowa. Cały ranek przepędził niespokojnie, przybyłego kupca omal nie wziął za sekundanta i odetchnął dopiero wtenczas, kiedy służący oddał mu list od Stelczyńskiego. Astachof kilka razy list ten przeczytał,—napisany był bardzo zręcznie..... Stelczyński zaczął od słów: *La nuit porte conseil*, w niczem nieusprawiedliwiał się, gdyż jak twierdził nie ubliżał w niczem przeciwnikowi; jednak przyznał że poprzedniego dnia zbytecznie się uniósł, i kończył oświadczeniem, że jest zupełnie na rozkazy pana Astachowa, lecz że sam już zadość uczynienia nie żąda. Po napisaniu i wysłaniu odpowiedzi, pełnéj grzeczności i poczucia swéj godności, bez wszelkich przechwałek, Astachof zatarłszy ręce siadł do obiadu, zjadł smacznie i zaraz po obiedzie odjechał w swoje strony, nie wysławszy nawet pierwéj koni na przeprząg. Droga którą jechał, przechodziła o parę wiorst od domu Ipatowa.....

Włodzimierz Astachof spojrzał w tę stronę.

— Bywaj zdrowe Zacisze, rzekł z uśmiechem; Obrazy Nadziei Aleksiejewny i Marji Pawłówny przesunęły się w jego wyobraźni, — machnął ręką, odwrócił się i zadrzymał.

VI.

Minęło przeszło trzy miesiące. Jesień już dawno nastała, pożółkłe lasy stracił y liście, i niewątpliwy znak zbliżającéj się zimy, wicher zaczął pogwizdywać i jęczeć. Lecz deszczy dużych nie było i błoto dróg jeszcze w zupełności nie popsuło. Korzystając z tego Astachof udał się dla pokończenia niektórych interesów do miasta gubernialnego. Rano zajęty był ciągle sprawami, a wieczorem pojechał do klubu. W ogromnéj ponuréj sali klubu spotkał kilku znajomych, a pomiędzy nimi starego, dymissjonowanego rotmistrza Flicza, wszystkim znanego processowicza, dowcipnisia, gracza i plotkarza. Astachof wszczął z nim rozmowę.

— Ale, dobrze że przypomniałem sobie, rzekł rotmistrz, — w tych dniach przejeżdżała pewna pańska znajoma, kazała się kłaniać!

— Kto taki?

— Stelczyńska.

— Nie znam żadnéj Stelczyńskiéj.

— Znałeś ją pan jeszcze panną; ona Wieretjef, z domu, Nadzieja Aleksiejewna. Mąż jéj jest urzędnikiem w kancellarji naszego gubernatora. Musisz go pan także znać, taki żwawy, z wąsikami. Dobry kąsek złapał, i z majątkiem.

— Czy tak, odezwał się Astachof; to ona poszła za niego, hm! a gdzież to oni jechali?

— Do Petersburga. Ona jeszcze kazała panu przypomnieć jakąś kartkę z cukierków.... czy mogę wiedzieć co to była za kartka?

To mówiąc stary plotkarz wystawił naprzód swój ostry nos.

— Nie pamiętam, istotnie, jakiś żart, odrzekł Astachof; lecz powiedz mi pan gdzie teraz jest brat?

— Piotr! o tym źle słychać.

Pan Ilicz podniósł w górę swe małe lisie oczki i westchnął.

— A co? spytał Astachof.

— Zapił się! zgubiony człowiek.

— Lecz gdzie on teraz?

— Zupełnie niewiadomo gdzie, wyjechał gdzieś najpewniéj za cygankami. Za to ręczę że nie ma go w Gubernji.

— A stary Ipatof ciągle tam mieszka?

— Michał Mikołajewicz? ten dzi... ciągle na miejscu.

— I u niego w domu wszystko... po dawnemu?

— A jakże.... Ale czyby ś to pan nie mógł ożenić się z jego krewną? Wszak to nie kobieta a można powiedzieć monument. He! he! U nas nawet już coś o tem mówiono.

— Czy tak? rzekł Astachof przymrużywszy oczy.

W téj chwili zaproszono Flicza do gry i rozmowa się przerwała. (d. c. n.)

---

¹) Trunek przyrządzany w Rossji z herbaty, araku i palonego cukru.

N. 1 i 2. Berecik pikowy dla małego chłopczyka.

Owalne denko pikowe 33 centymetrów długie, a 29 c. szerokie, mające podszewkę z cienkiego perkalu, układa się w równe fałdki i wszywa w pasek 47 c: długi, $1\frac{1}{2}$ c: szeroki, w który dla sztywności, wszyte są dość grube sznurki.

Przód bereciku przyozdabia pół batystowa falbana, wązkim haftem lub koroneczką zakończona, mająca 64 c. długości w środku, 16 c. szerokości, a w końcach do 9 c: zwężona. Układ falbany i przypięcie kokardy ze wstążki $2\frac{1}{2}$ c: szerokiéj, dokładnie wskazuje rysunek N 1. Pasek u dołu ogarnirowany nadmarszczoną koroneczką $1\frac{1}{2}$ c. szeroką w górze batystową falbanką $2\frac{1}{2}$ cent. szeroką, wąziutkim haftem gipiurowym zakończoną. Jeżeli w miejsce piki, użyjemy na berecik kaszmiru lub tybetu białego, wówczas podszewka powinna być ze sztywnego tiulu.

N. 3 i 4. Sukienka pikowa dla dziecka.

Krój dziecinnych sukien, przestaje niezmieniony; przód



N. 1. Czapeczka pikowa dla małego chłopczyka. (Przód).



N. 3. Sukienka biała pikowa (Przód).



N. 4. Sukienka biała pikowa. (Plecy).



N. 2. Czapeczka pikowa dla małego chłopczyka. Tył.

N. 5. Sukienka dla małéj panienki z karoczkiem przy pasku.

Popielata wełniana sukienka, przybrana pliskami $1\frac{1}{2}$ c. szerokiemi, riuszą $3\frac{1}{2}$ c. i siepaną frendzelką $1\frac{1}{4}$ c. szeroką. Do plisek, sztywnym muślinem podszytych, dodaje się wypustki białe, bez sznureczka. Muślinem podszyty karoczek składa się z dwóch oddzielnych kawałków 21 c: dług. 43 c. szer: z tyłu prostych, od dołu zaokrąglonych i do 2 c. z przodu zwężonych. Karoczek układa się z tyłu w kontra-fałdy 4 c: szerokie, z przodu prawie gładko wszywa się w pasek. Otwarty z wierzchu mankiet mający 10 — 12 c. szerokości, w górze 24 c: przy ręce 30 cent. długi, przyszywa się na wązkim lub do krótszego wązkiego rękawa.

N. 6. Sukienka z tuniką dla małéj panienki.

Sukienka szara wełniana, lustrowna, przybrana pliskami 3. centymetrów i skośnemi falbankami 5—10 cent.



N. 5. Sukienka z karoczkiem. Krój stanika zobacz ryc 30 w N. 11 Tyg. Mód.



N. 6. Suknia z tuniką dla małéj panienki. Krój stanika zobacz ryc. 4 i 5 w Tyg. Mód. N. 23.

kraje się gładki w kliny jak Gabrjela, tylne bryty proste, przy wykroju gorsu w fałdy ułożone. Dla dzieci noszonych na ręku, sukienka powinna być bardzo długa, dla zaczynających chodzić krótka. Trochę zaokrąglony wykrój w ramionach, dopełniają osobno wszyte ramiączka. Rękawki bardzo krótkie, z wierzchu spojone.

Na staniczku, dodany rodzaj berty, z czterech oddzielnych kawałków, w półkole ściętych, w środku 5 c. szerokich, w końcach do $1\frac{1}{2}$ cent: zwężonych, i na ramionach zręcznie upiętą kokardą połączonych. Tak berta jak i staniczek przybrany jest skośnemi obłożeniami z piki w czarne kropeczki, z brzegów ząbkami z tasiemeczki, a w środku, plecioneczką miniardisową naszytemi.

N 4. Podaje tęż samą sukieneczkę z tyłu, przybraną pliskami z perkalu w czarne paski i muślinową haftowaną falbaneczką.



N. 7. Stanik z wykładanym ranwersem i karoczkiem.

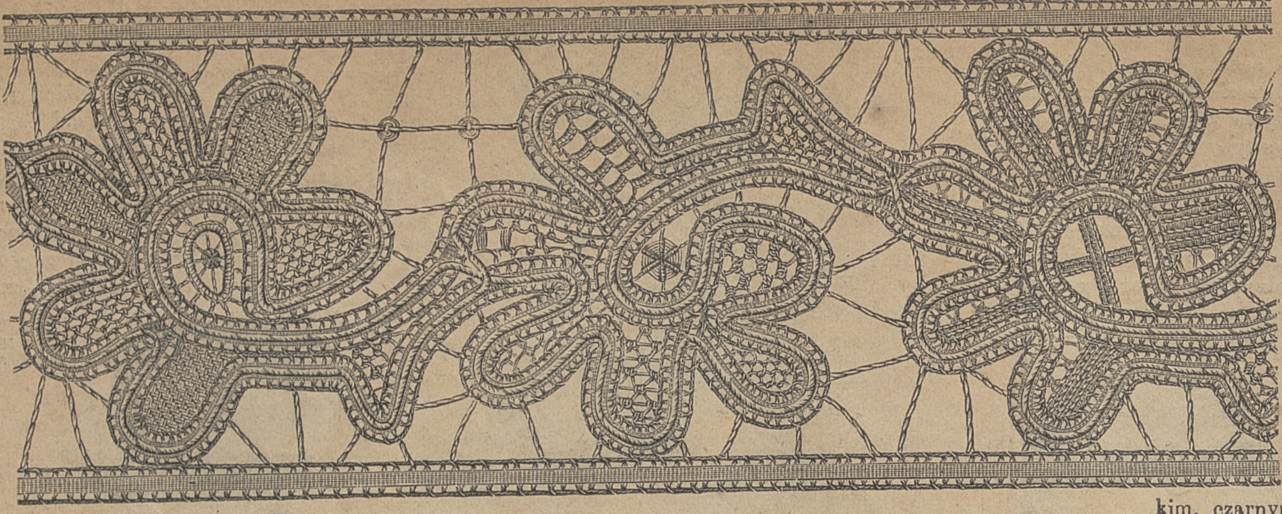
szerokiemi. Pliski podszywa się muślinem sztywnym i zakończa w górze wypustką białą i niebieską, z tych biała górna, przykrawa się szersza, a zachodząca na nią błękitna, nieco węższa. Stanik gładki z podłużnym wykrojem, zapina się na guziki z perłowéj konchy. Rękawy od spodu wązkie, z wierzchu nieco krótsze, szerokie. Przody tuniki zachodzą na siebie jak paletocik, i zdają się stanowić jedną całość ze stanikiem; tylny bryt prosty 54 c. szeroki, 22 c. długi, w górze układa się w kontrafałdy i wszywa do paska, od dołu i z boków zaokrągla i oszywa plisą i falbaną. Przednie z brzegów zaokrąglone bryty, mają u dołu 36 w górze 21 c. szerokości, długości w środku 19 z brzegów 11 centymetrów.

N. 7. Stanik z ranwersem i karoczkiem.

Ranwers stanowią dwa kawałki po 35 c: długie, z tyłu przy zeszyciu 6



N. 8. Narożnik do serwetki.



N. 12. Wstawka do poszewek. Tasiemeczka gipiurowa i ścieg koronkowy.



N. 10. Narożnik z arabeskami do serwetki.

i ¹/₂ c: z przodu 10 c. szerokie, od dołu zaokrąglone, w górze odpowiednio do wykroju stanika podcięte. Szerokie rękawy, dodane mają wyłogi, zaokrąglone w górze, w środku około 14 c. szerokie. Karoczek do paska przyszyty, składa się z 4 osobnych kawałków, których kształt, oznaczony na rycinie. Riusza 4 c. szeroka, zakończona stębnowanym obrąbkiem i frendzlą krepowaną, stanowi garnirunek.

N. 8—11. Serwetki z haftowanemi narożnikami.

N. 8. przedstawia złożoną, małą, niewarową serwetkę, służącą do ochrony stoliczka, toalety lub pułeczek. N. 9 podaje deseń do aplikacyi, na narożnik. Aplikacja powinna być z białéj piki lub perkalu, przydziergana jedwabiem czarnym lub pąsową włóczką czy bawełną. Na serwetce z białego muślinu daje się aplikacja z płótna lub perkalu.



N. 14. Kwiat szydełkową robotą do ryc. 13.

N. 10 przedstawia takąż serwetkę szarą, wyszytą w ładny arabeskowy deseń, sutaszem pąsowym i białym oraz jedwabiami lub kręconą bawełną w tychże kolorach. N. 11 podaje deseń do wyszycia i wskazuje rodzaj użytych ściegów.

N. 12. Wstawka do rozmaitego użytkn.

Irlandzki ścieg koronkowy i sznurek gipiurowy.

N. 13 — 15. Zasłonka do okna.

Bukiet szydełkowy na tle tiulowém.

Materjał. Tiul grosbotowy, bawełna szydełkowa N. 40 i cienki czarny jedwab'.



N. 13. Zastawka do okien. Tło tiulowe z aplikacją szydełkowych kwiatów. Zobacz ryc. 14 i 15.

Aplikacja kwiatów i liści szydełkowych, przyszywa się na tle z mocnego tiulu, jedwabiem cienkim, czarnym. Robota taka dobrze wykonana, wydaje się bardzo ładnie i służyć może, nietylko na zasłonki do okien, lecz do ochrony pokrycia kosztownych mebli. Na ramy do zastawki używa się pręcików politurowanych lub trzcinki, ciemno lakierowanéj. Tło tiulowe, trzeba tak wymierzyć, ażeby okalające go liście szydełkowe, cokolwiek nie dostawały do ramki. Każdy kwiatek i listek odrabia się osobno, następnie przyczepia do tła ściegiem dzierganym, jedwabiem czarnym. Brakujące gałązki i wąsy, wyszywa się odrazu, na tiulu ściegiem sznureczkowym i łańcuszkowym. Roboty kwiatów i liści opisywać nie będziemy, albowiem każda ze zręcznych naszych czytelniczek, sama ją zrozumie, podług wzorów naturalnéj wielkości ryc. 14 i 15. Dodamy tylko, że chcąc uniknąć odznaczania się rzędów, potrzeba w robocie zabierać za obie nitki łańcuszka. Tylko obrabiając pierwszy raz oczkami ścisłemi liść do koła, zabiera się jedną nitkę od łańcuszka poprzedzającego rzędu słupków, dla odznaczenia żyłki na liściu. Drugie zaś obrobienie zabiera się znów za dwie nitki, dorabiając zarazem pikoty, na które daje się 5 oczek łańcuszkowych i przerabia jednem oczkiem ścisłem. Brzegi tiulu przed wycięciem odzierguje się z lewéj strony. Pentelki do zawleczenia na ramkę, można robić łańcuszkiem po dwie i trzy jednym ciągiem i przyrabiać od razu do tła, lub też przyszywać.

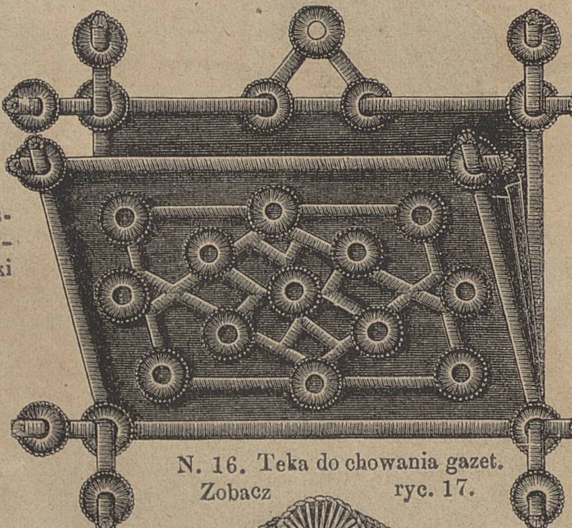


N. 15. Liść szydełkową robotą do ryc. 14.

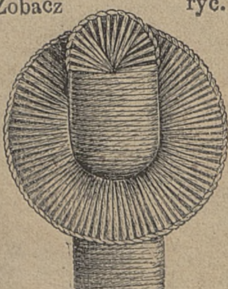
N. 16 i 17. Teka na czasopisma.

Robota fantazyjna.

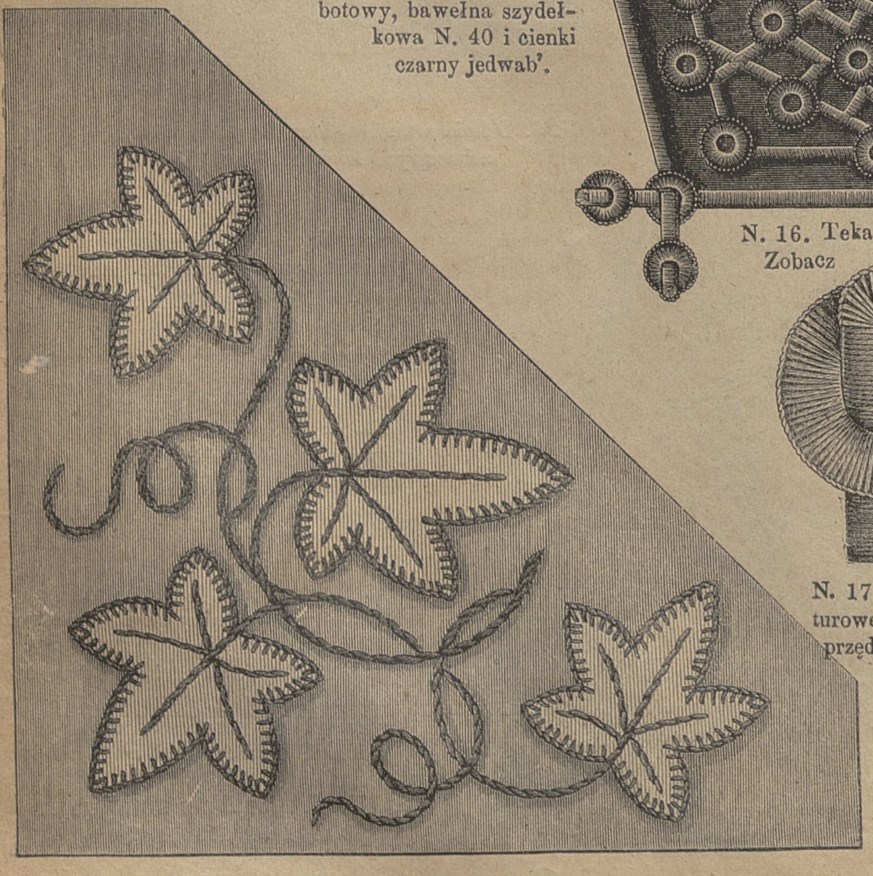
Odpowiednio do wielkości pism, przykrawa się ze sztywnéj



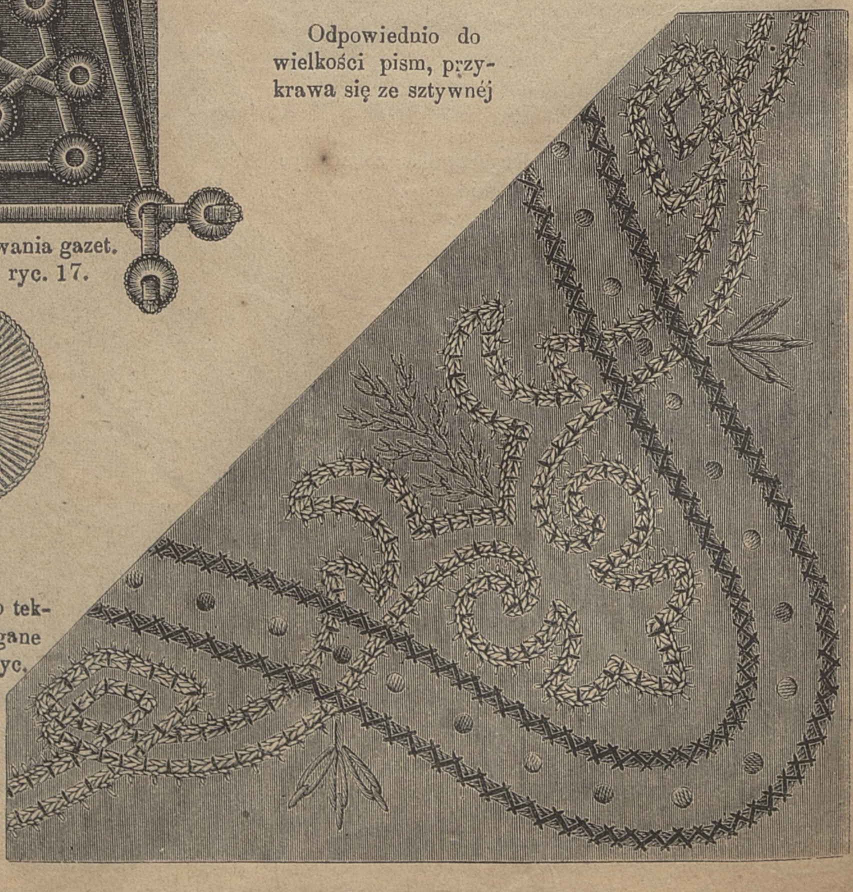
N. 16. Teka do chowania gazet. Zobacz ryc. 17.



N. 17. Kółko tekturowe dziergane przędzą do ryc. 16.



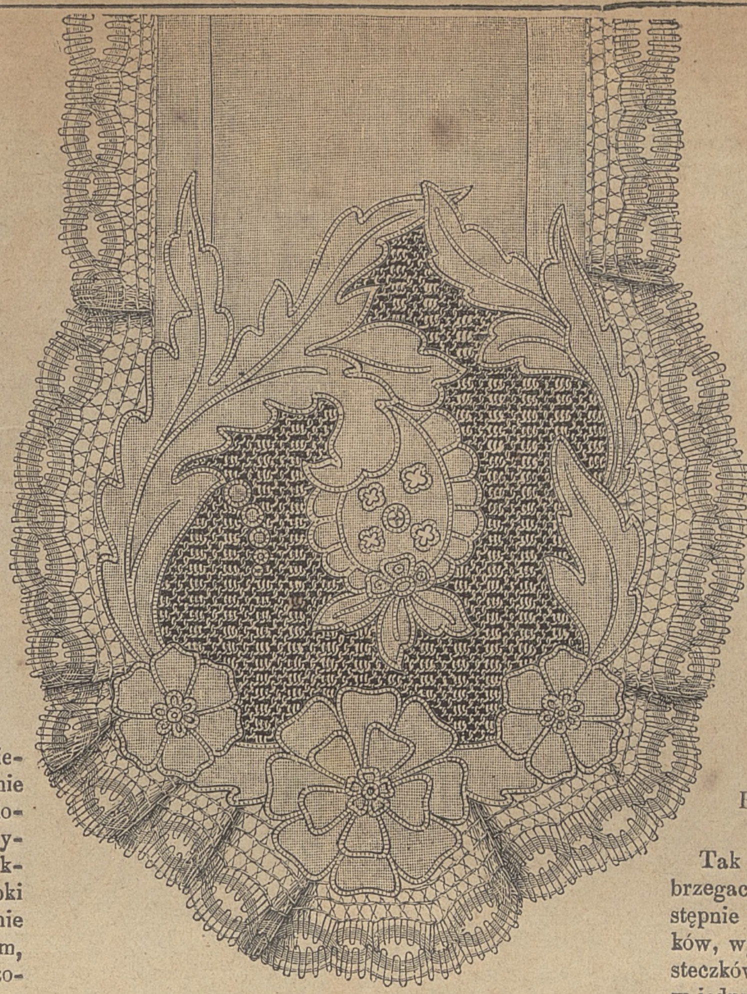
N. 9. Narożnik serwetki do ryc. 8.



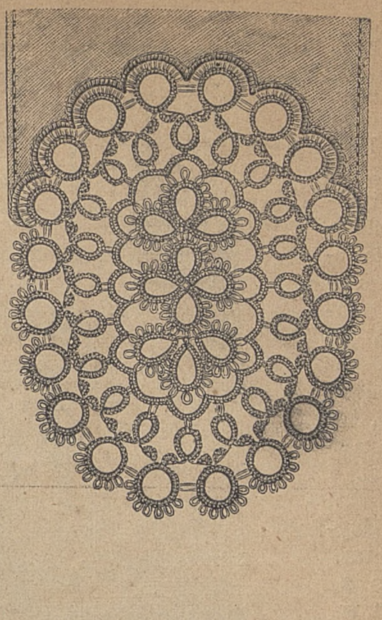
N. 11. Narożnik serwetki do ryc. 10.



N. 18. Narożnik do krawatki. Robota szydełkowa.



N. 20. Narożnik do krawatki.



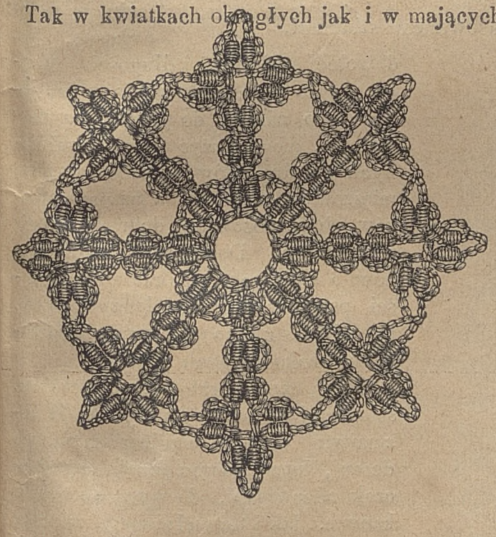
N. 19. Narożnik do krawatki. Robota frywolitowa.

tektury, dwie oddzielne połowy teki, z których zwierzchnia o 3 centym. niższą być powinna. Następnie pokrywa je się na obie strony materją lub aksamitem, dodaje boki (souflet) z tejże saméj materji, podklejone sztywnym papierem. Ze sztywnéj dobrze zbitéj, białéj tektury, przykrawa się podług wzoru N. 17 kółka i sztabki odpowiedniéj długości. Pierwsze odzierguje, ostatnie owija gęsto, szarym nicianym lub jedwabnym kordonkiem, poczem układa się i przyczepia do teki, podług dołączonego wzoru ryc. 16.

N. 18. Koniec do krawatki.

Koronka szydełkowy.

Tak w kwiatkach okrągłych jak i w mających kształt



N. 21. Rozeta szydełkową robotą.

kielicha, główniejszą część roboty stanowią listeczki wypukłe, złożone z rzędu łańcuszkowych płaskich pentelek, na których w drugim obrobieniu, wykonywa się oczkami ścisłemi pół i w środku całemi słupkami małe listeczki. Owale zaczęte od środka, obrabiają się następnie wkoło, oczkami ścisłemi, z dodaniem przy ostatnim rzędzie, pikotów. Liście wachlarzowe robione są ściegiem karbowanym, zaczęte od dołu, formę otrzymują przez gubienie i przybieranie, jak to wyraźnie znać na rysunku. Dla lepszéj wyrazistości i podobieństwa z robotą koronkową, wszystkie kwiaty i liście powinny być obrócone stroną lewą do wierzchu, zaś kratki i tło, wrobione ze strony prawéj.



N. 23. Woreczek do chowania drobiazgów.

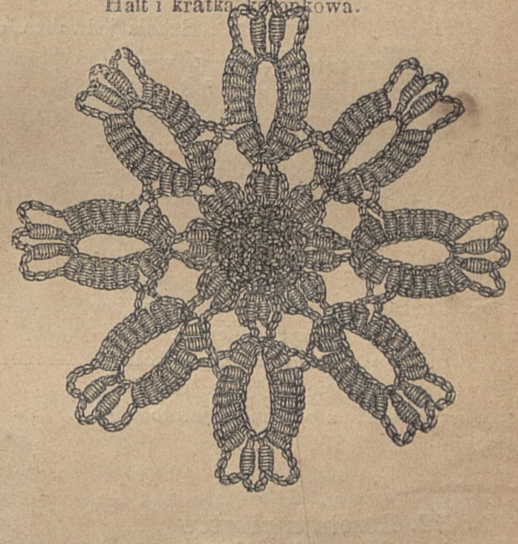
N. 19. Koniec do krawatki.

Robota frywolitowa jedną i dwoma nitkami.

Tak cztery środkowe listki owalu, jak i trzy listki po brzegach, odrabiają się jedną nitką, każde osobno, a następnie łączą za pikoty. Drugi rząd, złożony z pół-łuków, wymaga dwóch nitek, trzeci i ostatni złożony z listeczków, muszek i kółek, robi się jedną nitką, łącznie w jednym ciągu. Liczbę potrzebnych węzełków i pikotów, łatwo obliczyć można podług wzoru, na muszki czyli węzły daje się zwykle 6 podwójnych węzełków.

N. 20. Koniec do krawatki.

Haft i kratka koronkowa.

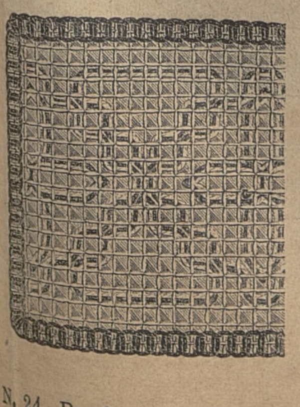


N. 22. Rozeta szydełkową robotą.

Do krawatki z cienkiego muślinu lub batystu, zakończonéj szerokim stębnowanym obrębem, pod haft na końcu podkłada się cienkie webowe płótno, kambrig lub perkal, ażeby deseń arabeskowy odbijał wyraźniéj i więcéj matowo. Następnie wszystkie kontury obrabia się sznureczkiem atłaskowym lub dzierganym, niepotrzebne tło w środku wycina się starannie i zarabia kratką koronkową. Koronka przy hafcie, przyrabia się razem, daléj pod obrębem, przyszywa od spodu ściegiem nieprzejmanym.

N. 21 i 22. Rozety szydełkowe z nawijanemi pikotami.

Obiedwie rozety służyć



N. 24. Pas do woreczka z kanwy „Jawa" do ryc. 23.



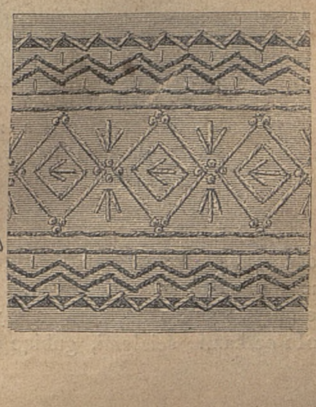
N. 26. Kwast do woreczka ryc. 23.



N. 28. Deseń do rozmaitego użytku. Haft różnokolorowy.



N. 27. Kwast do woreczka ryc. 23.



N. 25. Pas wyszyty na kasz-

mogą, jako aplikacja do przyozdobienia falban u sukien letnich, do paletotów i tiunik muślinowych i do różnych artykułów bielizny. W połączeniu zaś z innemi na serwetki, kapy lub wstawki.

N. 21. Szydełkowa rozeta z kołem w środku.

Osiem promieni téj gwiazdy, stanowią jedną całość ze środkowem kołem i odrabiają się nieprzerwanym ciągiem, zacząwszy od dolnego pikotu nawijanego. (Na który potrzeba bawełnę owinąć 8 razy około igły, potem przeciągnąć pętelkę przez te wszystkie nawinięcia). Zrobić więc * 6 o. luźnych 1 pikot na 1 oczko ścisłe w 6 oczko luźne, tak samo powtórzyć jeszcze 3 razy, potem 9 o. luźnych 1 pikot na: przerobiony w 5-te o. luźne. Dwa ostatnie pikoty złączyć razem 1 o. ści. na listek boczny, następnie tymże samym sposobem odrobić listki górne i listki boczne z drugiéj strony, poczem trzy pikoty dolne robić jak trzy najpierwsze i łączyć z niemi 1 o. ścisłym, dodać 1 o. luźne na okrąg koła *.

Powtórzyć razy siedm łącząc promienie z sobą za pentelki z o. luźnem jak to wzór wskazuje.



N. 29. Suknia jedwabna z muślinową tuniką i pelerynką.



N. 30. Suknia żakonotowa z odpasowanemi szlakami.

N. 22. Rozeta z pikotów nawijanych, ze środkiem zarobionym.

W téj rozecie, robi się najpierw środek, zaczynając od 16 pikotów, połączonych w 8 listków, w górze 5 luźnych oczek przedzielanych. Próżne miejsce w środku, zarabia się w około oczkami ścisłemi, gubiąc o ile potrzeba za każdem obrobieniem.

Osiem liści rozety, odrabiają się każdy osobno, potem łączą z sobą i ze środkiem, za pentelki.

Każdy liść zaczyna się od owalu z 20 luźnych oczek, wkoło którego dodają się pikoty nawijane, których robotę i układ wskazuje rycina 22.



N. 32. Spódnica kostiumowa z fałdowanemi falbankami i wyszyciem sutaszowém.

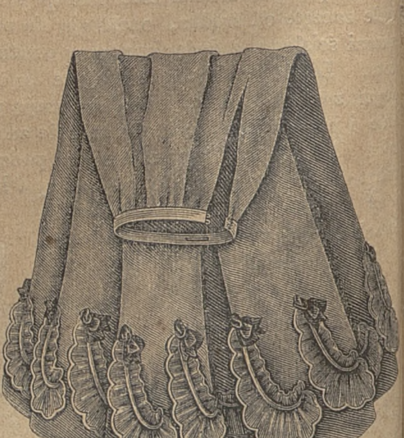


N. 31. Muślinowy paletot.

N. 23—27. Woreczek na kołnierzyki i różne inne drobiazgi.

Środek woreczka z połączonych pasów kanwowych i wełnianych, dawanych na przemian i układanych skośno, jest dowolnéj szerokości i długości. Kanwa używa się zwykle waflowa lub Jawa, jako zdatna do prania, na pasy matowe, można użyć materji wełnianych lub drelichów, zresztą wszelka mięszanina kolorów, a nawet gatunków, byle stosownie dobrana, da się zużytkować. Dolną część worka stanowi 6 kwaterek, w górze do szerokości pasa środkowego dopasowanych, ku dołowi zwężonych, przymarszczonych i zakończonych kwastem.

Górną część odrabia się szydełkiem, ściegiem łańcuszkowym *à jour*. W rozmaitym doborze ciągle podawanych deseni, łatwo dobrać rzucik czy szlaczek odpowiedni, do wyszycia tak na kanwie, jak i tle wełnianem, włóczką różno kolorową. N. 24 wskazuje szerokość pasa i deseń na kanwę. N. 25 próbkę deseniu na pas kaszmirowy, wyszytego ściegiem długim, sposobem wschodnim. Dolne zęby pasów, zakończone są kwastami, których wzór podaje N. 26 i 27.



N. 33. Spódnica kostiumowa ze skośno naszytemi falbankami.

Dalszy ciąg opisu N. 34, nastąpi w dodatku N. 35 Tyg. Mód.